Nr. 46. Lwów, Niedziela dnia 22. Lipca 1877 r. **Tom V.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

CYWILIZUJMY KARCZMY WIEJSKIE.

Wielkiej doniosłości społecznej kwestyą zamierzam dziś poruszyć. Chcę mianowicie mówić o reformie karczem wiejskich, o których wiadomo, jak potężny a zarazem jak szkodliwy wpływ na społeczność naszą wywierają.

Na nic to się nie zda perorować przeciwko istnieniu karczem na wsi. One istnieć muszą jako jedyne publiczne miejsce dla towarzyskich zebrań włościan. Cóż my n. p. po miastach na to powiedzielibyśmy, gdyby jaki reformator żądał zamknięcia wszystkich cukierni, kawiarń, lokalów kasynowych i t. p. miejsc neutralnych, gdzie nie żenując nikogo możemy zgromadzać się dla rozrywki towarzyskiej? My posiadamy tysiączne inne okazye do towarzyskiego zetknięcia się z innymi ludźmi, a przecież z pewnością protestowalibyśmy przeciwko usunięciu z tego świata tych knajp i knajpeczek, do których przyzwyczailiśmy się. Więc jakżeż możemy żądać od włościan tyle ascetyzmu, ażeby oni wyrzekli się dobrowolnie *jedynego* miejsca, gdzie — nie zawadzając nikomu mogą zbierać się na pogadankę i dla rozrywki?

Żadne morały konieczności istnienia gospod na wsi usunąć nie zdołają, i jak powiedzieliśmy wyżej, bezwzględne uderzanie na zwyczaj włościan uczęszczania do karczem nie doprowadzi do żadnego praktycznego celu. Przy szczególniej gorliwych zabiegach może udać się tu i owdzie wyjątkowo zmniejszyć trochę frekwencyą karczem — i. to nie na długo, lecz przy tem wszystkiem nie zabraknie im gości nigdy.

Stokroć większy pożytek przyniesie to społeczeństwu, gdy ogół oświeceńszy zajmie się, ażeby karczmom odjąć wszystkie cechy, które z nich czynią dziś jaskinie niechlujstwa, siedlisko lichwy i oszukańczego handlu, schronisko złodziei i oszustów, i w ogóle przybytek demoralizacyi wszelkiego rodzaju.

Teraz właśnie, gdy ma wejść w życie ustawa przeciw pijaństwu, której głównem jest zadaniem wyrugować z karczem pijaństwo, teraz jest po temu pora najstosowniejsza, ażeby podjąć sprawę „ucywilizowania karczem“.

Od tego zacząć wypada, co najłatwiej da się uskutecznić — gdyby tylko dwory zechciały od czasu do czasu zwracać na to uwagę — mianowicie od zewnętrznego uporządkowania gospod wiejskich. Potrzeba *zmuszać* arendarzy, ażeby bielili i myli izby gościnne, a tym sposobem odbierze się karczmom od razu tę cechę barbarzyństwa dzisiejszego, które je czyni podobniejszemi do przybytku zwierząt, niż ludzi. W białej, schludnej izbie gospodnej, będzie też i zachowanie się gości przyzwoitszem, niż w cuchnących, czarnych jaskiniach, do których obecnie są zazwyczaj karczmy podobne.

Dalej wypada zwrócić uwagę na tę okoliczność, ażeby schodzącym się do karczmy włościanom nastręczyć jakiś szlachetniejszy sposób rozrywki, niż bijatyki i brednie, jakiemi oni zwykle teraz czas zapełniają w karczmach. Małym kosztem, wynoszącym zaledwie kilkadziesiąt centów kwartalnie, można zaprenumerować dla użytku gospodnych gości jakieś pisemko ludowe — a chociażby i kilka takich pisemek politycznych, rolniczych i powieściowych leżało na stole w karczmie, to zawsze nie byłby to koszt tak znaczny, ażeby podjąć go nie można. Zresztą przy kontrakcie możnaby do tego zobowiązywać arendarzy. Wszakże to leży w ich własnym interesie, ażeby przywabiać gości do siebie, a gdyby w gospodzie można było dowiadywać się o nowinach z szerokiego świata, to tym sposobem przybyłby jej nowy tytuł do zgromadzania gości. Czytelników nie brakłoby, bo nawet w tych wsiach, gdzie jeszcze pięć, sześć lat temu wstecz nie było ani jednego gospodarza piśmiennego, jest dziś przynajmniej kilku, którzy bądź to w szkole, bądź w wojsku nauczyli się czytać. Zresztą najlepszym dowodem rozpowszechnienia czytelnictwa pomiędzy ludem wiejskim jest znaczne upowszechnienie niektórych pisemek ludowych. I tak n. p. *Russkaja Rada*, pismo bardzo zręcznie redagowane przez ks. Iwana Naumowicza w duchu moskiewsko-socyalistycznym rozchodzi się w 2400 egzemplarzach po kraju; *Pszczółka* i *Wieniec* ks. Stojałowskiego ma mieć więcej jak 1200 prenumeratorów. Więc kto chciałby utrzymywać na podstawie doświadczenia z dawnych lat, że pomiędzy włościanami nie ma amatorow do czytania, ten myli się mocno. Że lud nasz bierze się teraz coraz ochotniej do czytania, wiedzą — i wyzyskują ten objaw na korzyść swoich wywrotnych teoryj ludzie ze stronnictw skrajnych, a ci, którzy pragną szerzenia światła w masie społeczności naszej z najczystszych pobudek cywilizacyjnych, mogą się zdobyć u nas zaledwie na jakąś broszurkę od czasu do czasu....

Ale powróćmy do karczem.

Do wszystkiego zła, jakie upowszechnia się pomiędzy ludem za pośrednictwem teraźniejszych karczem, przybyła w ostatnich czasach jeszcze gra w karty. Zarazę tę nanieśli urlopnicy z wojska, a żydzi troskliwie ją rozpleniają, gdyż przy tem zawsze nie kto inny jak tylko oni *wygrywają* — chociażby nawet nie grali sami. Gry najczęściej u włościan używane są: „ferbel“, „halberzwölwe“ i „der schwarze Peter“ — wszystkie hazardowne. Otóż ażeby zneutralizować trujący wpływ namiętności do gry, należałoby obmyśleć dla włościan inne rozrywki, mniej demoralizujące. Do takich zaliczamy najpierw kręgle, które z pewnością najlepiej podobają się włościanom, a potem warcaby i domino, które to gry znowu tę mają zaletę, że bez kosztów w domu sporządzone być mogą.

We wielu okolicach, mianowicie w górach, jest w zwyczaju u włościan mocowanie się. Te popisy siły fizycznej i zręczności najczęściej wyradzają się w pospolite bijatyki. Aby więc uszlachetnić podobne ćwiczenia, i skierować je na rozsądniejsze tory, dobrze by było poustawiać przy karczmach niektóre najskromniejsze przyrządy gimnastyczne — jak n. p. słup gładki do łażenia, podobny jakie można widzieć zwykle przy karczmach po wsiach niemieckich, porączki do koziołkowania, wiszące sznury do wspinania się i t. d.

Najtrudniejszem jednak, ale też i najważniejszem zadaniem patryotów, którzy chcą pracować nad uszlachetnieniem ludu, nad wydoby-

ciem jego z niewoli nędzy byłoby, odjąć karczmom teraźniejszą cechę centralnago punktu wszystkich interesów pieniężnych włościan. Cel ten możnaby osiągnąć tylko przez zakładanie sklepików z towarami korzennymi, solą, naftą, i innemi najpotrzebniejszymi dla włościan artykułami handlowymi na wsi, po za karczmą, a powtóre przez mnożenie łatwo dla włościan dostępnych zakładów kredytowych. Jest to jednak przedmiot, o którym już bardzo dużo napisano, a jeszcze więcej nagadano — jak dotychczas niestety bez szczególniejszego skutku. Zamiast więc nosić drwa do tego lasu dobrych intencyj i rad mądrych, lepiej może będzie uciąć w tym punkcie niniejszą pogadankę o karczmach wiejskich. Niechaj łaskawy czytelnik sam w duszy dośpiewa, cobyśmy jeszcze o tym przedmiocie powiedzieć mogli...

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

(*Ciąg dalszy*).

W kilka dni potem zawołali moję matkę do dworu. Nie wiem, czy pani pamiętają pańszczyznę? zwróciła się do mnie z zapytaniem. A gdy otrzymała odpowiedź, że pamiętam bardzo dobrze. mówiła dalej. No to pani wiedzą, że wtenczas nie pytali nikogo, czy chce pójść na służbę do dworu, jak to dzisiaj robią, i nie można było powiedzieć, jak dzisiaj, gdy kto nie chce, że nie pójdzie, ale przychodził ekonom albo ataman i prowadził, a nie można było i słówka pisnąć. U nas, że państwo byli bardzo dobrzy, to pani, chcąc wziąć którą dziewczynę, posyłała po rodziców, godziła na pieniądze i na płótno i kazała rodzicom samym przyprowadzić. To chociaż to było lepiej, że nie prowadził ataman, to przecież ani mogli powiedzieć, że córki nie dadzą. Tak się zrobiło i ze mną. Matka powróciła ze dworu i powiedziała mi, że mnie pani zgodziła na rok do gotowania dla czeladzi. Ażem ręce załamała, usłyszawszy to i pomyślawszy, że już mego Fedia nie będę mogła widzieć co dzień, bo gdzież to ze służby wyrwać się — aby na chwilkę.

— I kiedyż mnie zaprowadzicie,— zapytałam, bo o tem, żeby można było nie pójść, nawet nie pomyślałam.

— Wyprosiłam cię do jutra, — odpowiedziała matka. Pobiegłam do sadu, stanęłam przy płocie od podwórza Fediowego i czekałam, żeby wyszedł ze stodoły, gdzie młócił żyto na nasienie. Czekałam dość długo, nareszcie stanął na progu obcierając rękawem spocone czoło.

— Fediu! — zawołałam z cicha; obejrzał się, a zobaczywszy mnie w sadzie, podbiegł, przeskoczył płot i był już przy mnie, ani tyle czasu nie potrzebował na to, co przeżegnać się.

— Marysiu! Tyś znowu płakała?

— O jakże płakać nie miałam, kiedy mnie biorą do dworu?

On nic nie odpowiedział, bo nie było co na to mówić, ale tak zacisnął ręka o rękę, że aż mu kości trzasnęły. Zmarszczył brwi i stał tak długo, a potem powiedział: Ty nie możesz tam być sama". Obrócił się, przeskoczył przez płot, poszedł do chaty, wziął nową czapkę, poprawił pas i poszedł na dół drogą do dworu. Nie wiedziałam, co chciał zrobić, myślałam, że chce mnie wyprosić u pani. Już mnie się żadna robota nie brała i choć matka wołała w pole do konopi, nie poszłam, ale czekałam, aż Fedio powróci," W pół godziny może przyszedł. Weselszy był, a przystępując do płota powiedział do mnie:

— Zgodziłem się we dworze do wołów. — I poszedł do stodoły wiać omłócone żyto.

Mnie się lżej zrobiło i służba dworska wydała mi się mniej straszną, roboty chociażby najcięższej nie bałam się, a gdy on będzie ze mną, to już i dobrze. I tak jednego dnia stanęliśmy oboje na służbę we dworze.

Roboty miałam dużo — samych parobków było 18; na taką czeladź zgotować, wody nanosić, drzewa narąbać, naczynie pomyć, to już nie było kiedy i obejrzeć się. To też dzień za dniem uciekał, a ja czekałam tylko wieczora. Gdy już wszyscy porozchodzili się spać, a ja poprzątałam po wieczerzy, wychodziłam przed piekarnię, siadałam na kamieniu przed progiem i czekałam na mojego Fedia. I tak siedzieliśmy sobie z godzinę a czasem i więcej.

We dworze zaczęli nas brać na zęby, ale my o to nie dbali, bo mogliśmy się śmiało popatrzeć każdemu w oczy. Fediowi, gdy kto mówił, że on dlatego przyszedł do dworu, że mnie wzięli, to się przyznawał, że tak jest. A raz nawet samemu ekonomowi powiedział, że tylko dla tego służy, aby mnie pilnować, aby mi się jaka krzywda nie stała. A to tak było. Klucznica czegoś rozgniewała się na mnie, zaczęła mnie łajać i wymyślać, a bywało jak się rozterkoci, to już końca nie ma, i mnie się też sprzykrzyło, burknęłam coś, ona rozgniewała się gorzej i chciała mnie uderzyć, ale ja nie dałam się mówiąc: „Niech mnie Imość*) nie bije, bo pójdę do pani na skargę" Na to nadchodzi ekonom z prętem w ręku, bo tylko co zesiadł z konia, a za nim Fedio. Jak mi potem mówił, iż dlatego przyszedł do piekarni, bo słyszał, że Imość krzyczy na mnie. Imość dalejże skarżyć się: A to taka, a to siaka, odpowiada mi i jeszcze straszy panią Jak zaczęła judzić, tak ekonom przyskakuje do mnie z podniesionym prętem i byłby mnie uderzył, gdyby nie Fedio, który poskoczył i zasłonił mnie sobą. Ekonom krzyknął:

— A to co za zuchwalstwo?!

— To nie zuchwalstwo, odpowiedział Fedio, ale ja jej nie dam bić; jeżeli zawiniła, to mnie bijcie, ile się wam podoba, ale jej, póki ja żyję, nikt się palcem nie tknie! — Ekonom pręt spuścił.

— Jakto, Fedku, to to prawda, co gada czeladź, że ty ją kochasz i tylko dlatego służysz, że ją do dworu wzięli?

— Prawda, panie, i mnie możecie pierwej życie odebrać, jak jej krzywdę zrobić.

Ekonom zaczął się śmiać: Ale ten się kocha, — powiedział i dodał: przynajmniej warto, bo ładna dziewczyna. — I tak się skończyło. Od tego czasu nikt już się nie dziwił i nic nie gadał, gdyśmy razem siedzieli wieczorami, gdy mi Fedio pomagał drzewo rąbać, wodę nosić. A może tam co i gadali, ale my nie dbali o to.

*) Tak nazywają klucznicę na Rusi.

Byłam bardzo szczęśliwa i zaczęłam zapominać o słowach Iwana. Ale też to już na długie lata był koniec mego szczęścia.

Na wiosnę rekrutowali do wojska, przyszedł spis, którzy mają się stawic do Brzeżan, a między nimi mój Fedio!

Opowiadająca poruszona tem bolesnem dla niej przypomnieniem pobladła, a dwie łzy spłynęły po ogorzałem licu. Taka to głębia i moc niezbadana prawdziwego uczucia. Zamilkła nie mogąc mówić, gdyż słowa nie chciały wyjść ze ściśnionej piersi. Po chwili dopiero zaczęła dalej opowiadać.

Co mi się działo, gdy się ze mną żegnał, to już tego pani nie powiem. Ale Imość nawet, choć stara była, ulitowała się nademną i wyprosiła u pani, że mnie puścili do domu. Całe trzy dni, gdy z Brzeżan nie było tych, co pojechali, ja anim jadła. ani spała, ani nic robić nie mogłam. Po całych dniach i nocach stałam we wrotach i patrzyłam w tę stronę, którędy pojechali. Matka, ojciec prosili, płakali, żebym poszła do chaty, mówili, że ludzie będą się śmiali ze mnie, ale mnie się zdawało, że ludzi nie ma, że wieś pusta, to znowu prosili, żebym się choć mleka napiła, nie mogłam.

Trzeciego dnia z rana zaturkotały wozy na drodze, mnie zaczęło tak strasznie stukać w piersiach, że mało mi nie pękły. A tymczasem fury nadjechały, Fedia mego nie było! Trzymałam się jeszcze na nogach, wybiegłam naprzeciw, wyciągnęłam ręce, zawołałam „Fedio!" ale mój własny głos wydał mi się taki straszny, że mi aż od niego w głowie zaszumiało.

— Został, odpowiedzieli, ostrzygli i przysiągł już.

Mnie coś w piersiach pękło, bo stukanie ustało, postąpiłam kilka kroków, chcąc wrócić do chaty, ale zobaczyłam te jego śliczne włosy, tyle razy całowane przezemnie, jak spadają pod nożycami, chciałam chwycić za nożyce, nie dać, ale ten co je trzymał, uderzył mnie niemi bardzo mocno w głowę, w oczach mi się zaćmiło, upadłam na ziemię.

Mówiąca zamilkła; ja także nie śmiałam przerwać milczenia. Po chwili opanowawszy wzruszenie, mówiła dalej.

Rekrutacya ta była na początku marca. Nasze święta Wielkanocne przypadały przy końcu kwietnia. Gdy wtenczas upadłam na drodze, tom się nie zbudziła aż dopiero na dwie niedziele przed świętami; prawie 6 niedziel nie wiedziałam o świecie. Matka mi potem powiedziała, że już myśleli, że umrę, żem nikogo nie poznawała, że doktory jeździli do mnie, że mi krew puszczali, pijawki stawiali i że mówili, żem miała zapalenie mózgu. Jam tego nic nie wiedziała, mnie się zdawało, żem tak długo spała. Życie mi wróciło, ale szczęście moje umarło!

W kilka dni wstałam, chodzić nie mogłam, mówić nie mogłam, i żal mi było żem nie umarła. A tu na dworze już znowu zaczęło być ciepło — sucho, ludzie siali, orali, kopali ogrody. Mnie nic nie było miło. Za-

mykałam się w chacie, żeby nie widzieć, jak słońce świeci, nie słyszeć, jak ptaszki spiewają. Nadszedł Wielki tydzień — jam kądziel już przędła, ale z chaty nie wychodziłam, nie mogłam, nie chciałam ludzi spotykać, bałam się, żeby nie mówili do mnie. W wielki piątek matka upiekła paskę, pogotowała jaja, kiełbasy, przetarła ser i masło z szafranem, wszystko tak jak się należy w gospodarstwie, a ja nietylko, że nie pomagałam, ale patrzeć nawet nie chciałam. W sobotę po południu nakryła skrzynię obrusem, powiązała wszystko w białe ręczniki i przysposobiła już tak, aby w niedzielę do dnia ponieść do cerkwi poświęcić.

W całej wsi już niby zaczynało się święto, dla mnie go nie było, siedziałam pod piecem na ławie i przędłam kądziel. Wtem drzwi od chaty skrzypnęły, otwarły się i Fedio mój w ułańskim mundurze stanął w progu. Krzyknęłam, skoczyłam, i to pamiętam jeszcze, żem go chwyciła za szyję, a on mnie przycisnął do siebie, ale co się już potem stało, nie wiem. Gdym oczy otworzyła, a zbudził mnie jakiś stuk głuchy, ujrzałam się na ławie leżącą przed oknem, a Fedia, jak bił głową o skrzynię zasłaną białym obrusem, — ojciec stał w nogach, a matka w głowach moich płakała. „Fediu!“ zawołałam, bo stuk jaki wychodził z pod jego głowy, odzywał się w mojem sercu i zbudził mnie. On przypadł na kolana, pochwycił moje ręce i zaczął całować, nic nie mówił, ale łzy potokiem lały mu się z oczu. Podniosłam się z ławy usiadłam, i on siadł przy mnie; rąk moich nie puścił, ale przycisnął do piersi i tak trzymał. Patrzał mi w twarz i powtarzał: Coście jej zrobili, co zrobiliście mojej Marysi, że tak zmarniała.

Pani może nie dadzą wiary, gdy powiem, że tak przesiedzieliśmy do wieczora, i noc całą nic prawie nie mówiąc do siebie. Ściskał moje ręce, przytulał głowę moją do swoich piersi, a milczał, bo cóż miał mówić, jak pocieszać? Czyż mógł mi już powiedzieć: „Ty będziesz moja!“ Żołnierzem był zaprzysięgłym, zaprzysięgłym na 8 lat, a lat 8 gdy już miną to minuta, ale gdy idą dopiero to wiek.....

Nie wielka była rzecz noc ową przesiedzieć, bo tak była krótka! najkrótsza ze wszystkich, jakie w życiu pamiętam! zaledwie słońce dobrze zaszło, już i dzień się zrobił! Już tak Pan Bóg dał! Gdy świtać zaczęło, ojciec mój podniósł się z pościeli, przeżegnał się, a zobaczywszy nas na tem samem miejscu siedzących, powiedział: Oj! biedne moje dzieci! — A potem jakby sobie coś przypomniał: Fediu, zawołał, czy ty za urlopem?

— Nie, nikt nie widział, że wyszedłem z Mikołajowa. Musiałem, nie mogłem inaczej; w niedzielę o 11tej wychodzimy do Ołomuńca, gdybym był tu nie przyszedł, byłbym zwaryował albo umarł. Ojciec ręce załamał: Taż to już niedziela! Zebrał się, wyszedł z chaty, a za chwilę powrócił.

— Fediu, fura gotowa, ja cię odwiozę, przed 11tą musimy być w Mikołajowie, inaczej byłbyś ostro karany, ja wojskowy wysłużony, to wiem — przez rózgi!

Czy pani wierzą, że ja te rózgi miałam na plecach moich i w sercu. Zerwałam się, jakaś siła we mnie wstąpiła. Fediu, Fediu, jedź, uciekaj! — po cóż ty, po co przyszedłeś! A takam jakaś była mocna, że gdyby się był opierał, tobym go była na ręce pochwyciła, jak małą dziecinę i na wóz zaniosła. Wzięłam go za rękę, dał się wyprowadzić; wyszedłszy na podwórze, spojrzał na swoją chatę. Ojciec, bracia, — taż jam ich nie widział!

— Już nie czas, powiedział mój ojciec, siadaj! On obrócił się jeszcze do mnie.

— Fediu, mój Fediu! załamałam ręce, jak się spóźnisz, to umrę!

— Cyt, dziecię! zawołał mój ojciec niby groźnie, a oczy ręką obcierał, ja go na czas odstawię.

I ruszył czwałem z podwórza.

Gdybym była nawet uczona na książce, tobym już teraz nie umiała powiedzieć wam, pani, co mnie się działo, gdy wóz zniknął mi z oczu. Serce moje tak się rwało, jak gdyby było sznurem przywiązane do kół tego woza, którym mój Fedio odjechał odemnie na zawsze, a w głowie szumiało, piekło, i czułam, że rozum mi się mięsza, ale ja nie mogłam zwaryować, pókiby mój ojciec nie wrócił i nie powiedział mi, że go na czas odwiózł.

Ludzie szli do cerkwi, nieśli paski święcić, mnie matka wołała, kazała iść także, — ale nie mogłam. Pocóż? Kiedy mnie się było coś stało, że zapomniałam pacierza. Chciałam się pomodlić, gdy pojechali, ale nie mogłam znaleść początku — przelękłam się, gdyż zobaczyłam, że mnie już i Bóg opuścił; po cóż miałam iść do cerkwi! Ludzie w całej wsi modlili się Bogu, a ja leżałam piersiami i twarzą do zimnej wilgotnej ziemi w sadzie, nie płakałam — łez nie było, ten straszny ogień, co mnie palił w głowie i piersiach — wysuszył je.

Ojciec nie wrócił w nocy, i rano nie wrócił, nie było go do południa. A mnie ten ogień z głowy przeniósł się do oczu, na co spojrzałam, zdawało mi się, że się pali — płomienie i iskry skakały koło mnie, a niby już zapomniałam, że Fedio był, że pojechał, że może go już nigdy nie zobaczę; już nic nie pamiętałam, tylko, że muszę się ojca doczekać.

Wieczorem siedziałam na progu chaty i obiema rękami trzymałam głowę, bo taka była wielka jak beczka. Aż tu ojciec nie jedzie, ale idzie piechotą, zmęczony, oprószony, z batogiem tylko w ręku. Zobaczywszy go, przypomniałam sobie znowu Fedia, że był — że odjechał — że mógł się spóźnić — że muszę, nim się spalę od tego ognia, dowiedzieć się, czy nie będzie karany. Pamiętam, żem wstała z progu, postąpiła do ojca, ale już nie wiem, czym pytała, czy mi sam powiedział:

— Stanąłem z moim na czas — nikt nie wiedział w regimencie, że go nie było — dziś wymaszerował do Ołomuńca.

Mnie ogień z głowy buchnął wysokim słupem w górę, upadłam ojcu przy nogach. Co się potem robiło, nie wiem, bo gdy się obudziłam, to jagody na naszej czereśni w sadzie były już czerwone, i ludzie kartofle podgartywali. Przeleżałam bez pamięci ośm niedziel. Matka mi potem powiadała, co się ze mną znowu nabiedowała, że znowu doktory jeździli, i że z początku mówili że umrę, albo, że mi się rozum zbałamuci. Ale pan Bóg lepszy doktor, kazał żyć. Także powiedziała mi, że ojciec wtenczas tak pędził do Mikołajowa, że gdy stanął na rynku, oba konie padły i na miejscu zgnęły, a nie mając co robić z wozem, sprzedał go, a sam tylko z batogiem powrócił do domu. Przeleżałam, jak mówię, bez pamięci ośm tygodni, a zbudziwszy się, nie wiedziałam, co zrobić z życiem, co zrobić ze sobą. Ludzie byli jacyś inni, wieś inna, pusta i cicha, pola, lasy, wszystko się odmieniło, w sadzie było smutno, w chacie ciemno, słońce, chociaż to było lato, blade i zimne. Matka często płakała, ojciec był jakiś słaby i zły. Do chaty zajrzała bieda. — Raz się rodzice wy tracili na moją chorobę, potem drugi raz, przednowek był ciężki, konie padły. Najbogatszemu nie wiele potrzeba, aby zubożał. Moi rodzice chociaż mieli się dobrze, bogaczami nie byli, jak też przyszło na nich tyle złego, tak i zastawiać się zaczęli u żyda. Bywało zarabiali końmi i tem sobie pomagali — teraz koni nie stało, i zarobku nie było. W żniwa byliby nawet z pola nie pościągali, gdy im był Iwan nie pomagał; ale wszystko to byłoby do niczego — gospodarstwo upadało. Ojciec gryzł się i chorował, ja byłam na nic, matka sama nie mogła dać rady wszystkiemu. Zaczęli więc kumy namawiać, żeby zięcia przyjęli. Ja byłam w komorze i usłyszałam, jak matka na to powiedziała: „Ta już nic innego nie wypada zrobić, tylko Marysia musi pójść za Iwana.“ Mnie się strasznо zrobiło, bom pomyślała sobie, że już taka bieda w chacie, że rodzice mogą to zrobić. Wyszłam na podwórze, z podwórza przez drogę na pole, a potem polem het w górę, w górę aż do lasu. Siadłam pod sosnami i powiedziałam sobie, niech się robi co chce, ja nie powrócę do chaty. Było już hen hen pod północ, gdy usłyszałam Iwana, jak hukał po sosnach i szukał mnie, a potem ojca, alem się nic nie odzywała. Jak długo szukali, nie wiem, bo wołając mnie ciągle, poszli gdzieś daleko w las. Było to na tydzień przed praźnikiem, noce były już zimne i długie, a ja wyszłam tak jak byłam w chacie w koszuli i w spodnicy. Nie pamiętam nawet, żeby mi zimno było. Chciałam doczekać się ranka, a potem iść, iść lasem aż gdzieś daleko za góry, tam się dopytać u dobrych ludzi, którędy do Ołomuńca i uciekać do Fedia. Już się na dzień brało, zdrzemałam się trochę. Jak długo spałam, nie wiem, ale mi się zdawało, że minutkę. Śni mi się, że mnie ktoś szarpie za rękę, otwieram oczy, a tu mój ojciec z Iwanem stoją nademną, a ojciec zły, że się aż trzęsie. Jak krzyknie na mnie: — A co to do licha! Nie dosyć, żeś mnie na dziady sprowadziła, żem się wytracił na ciebie, będziesz mnie jeszcze po całych nocach po lasach wodzić, zdrowie tracić! Ojciec krzyczał, jam nic nie mówiła. Aż nareszcie pyta:

— Czegoś z chaty uciekła? Co ci kto zrobił?

Ja wtenczas ojcu do nóg i powiedziałam, co kumy mówiły i co im matka odpowiedziała. Prosiłam się: — Ojcze! nie mogę iść za innego, bo tamtego kocham!

*

— Co tobie z tem kochaniem? czary czy co! już czas zapomnieć!

— Ja go nigdy nie zapomnę! zawołałam łamiąc ręce. Ojciec jeszcze gorzej się rozgniewał, zaczął przeklinać Fedia i tę godzinę, w której go synem nazwał, a tak strasznie klął, że mnie włosy powstawały na głowie, zdawało się, że mojemu Fediowi wszystko się to stanie, czem go ojciec klnie. — Ojcze! nie przeklinajcie, zawołałam rzucając się na kolana, zrobię wszystko, co każecie, pójdę, za kogo zechcecie, ale przez miły Bóg nie klnijcie go!

— Pójdziesz, bo musisz, — dziś jeszcze Iwan zaniesie na zapowiedzi. Iwan schylił się do mnie.

— Wstań Marysiu! — chodź do chaty! noc była taka zimna, zachorujesz znowu.

(C. d. n.)

POMYŁKA W DODAWANIU

POPEŁNIONA PRZEZ LEIBNITZA.

Któż z nas nie zna najpierwszego z czterech działań arytmetycznych, któż z nas nie umie dodawać, zwłaszcza jeżeli nie idzie o dodawanie ułamków z najrozmaitszymi mianownikami, lecz o dodawanie samych liczb całkowitych? Sztukę tę potrafimy wszyscy, posiadają tę umiejętność nawet małe dzieci ze szkółek początkowych i gdybyśmy komu powiedzieli, że jest taki zbiór liczb całkowitych, którego nie umiałby dodać, toby wzruszył ramionami i odpowiedział, że nam się coś uroiło i przywidziało.

A przecież tak jest, na dowód czego, opowiemy wam czytelnicy, jeżeli posłuchać będziecie ciekawi, następną arcy-wiarogodną, bo na kartach dziejów nauki zapisaną historyą.

Onego czasu, będzie temu 231 lat, przyszedł na świat w Lipsku wielki człowiek, Godfryd-Wilhelm Leibnitz, ten sam Leibnitz, o którego filozofii dr. Daisenberg w Krakowie wydał parę lat temu nie wielką broszurę i ściągnął na siebie przez to niesłychane gromy ze strony krytyków, którzy twierdzili, że o tak wielkim filozofie w takiej małej broszurze pisać nie wolno. Wspominamy o tem dla tego, że nasz artykuł jest jeszcze mniejszy, a traktuje o tym samym Leibnitzu, więc i na nas spaść mogą jeszcze większe gromy, tembardziej żeśmy sobie założyli udowodnić, iż tenże Leibnitz, chluba Niemiec, twórca i prezes dożywotni Akademii berlińskiej, prawnik, filozof i matematyk, mąż, któremu sami z ochotą przyznajemy geniusz, w pewnym wypadku nie umiał dodać szeregu z samych liczb całkowitych złożonego. Ha! cóż robić, jeżeli panowie krytycy mają ochotę zjeść nas za to, to im pierwsi smacznego apetytu życzymy!

Wszyscy biografowie Leibnitza zgadzają się na to, że chociaż Leibnitz był wielkim człowiekiem, jednak gdy przyszedł na świat w r. 1646 w Lipsku, był sobie małym jak każdy inny, a gdy podrósł i zaczął się uczyć, to zaczynał czytanie od sylabizowania, zaś pisanie od kreślenia kresek i kółek, bo wówczas innej metody uczenia czytać i pisać nie znano. Nie wszyscy jednak biografowie zwrócili na to uwagę, że tenże Leibnitz gdy dorósł i został wielkim, pamiętał o tem co robił, gdy był mały i niekiedy jako wielki człowiek zajmował się takiemi rzeczami, któremi się zazwyczaj zajmują tylko mali ludzie, co jeszcze drogą życia niedaleko od kolebki swojej odeszli.

Faktem jest naprzykład niezaprzeczonym, że była w życiu Leibnitza epoka, trwająca może kilka dni tylko, może dłużej, żaden biograf bliższych szczegółów o tej epoce nie podaje, epoka, w której, jeżeli kto miał sposobność zaglądać do papierów leżących na jego biurku, musiał być w obawie, czy wielki ten mąż nie zdziecinniał. W owej epoce bowiem ulubionem zajęciem Leibnitza było pisanie na papierze kresek i kółek, niczego więcej tylko kresek i kółek.

Z jakiej przyczyny ów mąż genialny bawił się tak jak małe dziecko, wyjaśniło się to później z dzieł jego. Postanowił on sobie zbadać jakby też wyglądała arytmetyka, gdyby zamiast dziesięciu cyfr do wyrażania wszystkich liczb, miała tylko dwie cyfry, używane według takich samych prawideł, według jakich dziesięciu cyfr używamy. Pisał więc sobie mnóstwo kresek i kółek i doszedł, że możnaby niemi zastąpić wszystkie dziesięć cyfr arabskich. Jedynka położona na ostatniem miejscu czyli na pierwszem od końca znaczyłaby wówczas, tak samo jak w dziesiętnej arytmetyce, jedynkę, na drugiem dwa razy tyle, na trzeciem dwa razy tyle co na drugiem, na czwartem dwa razy tyle co na trzeciem i tak dalej, a zero wszędzie znaczyłoby zero, i taki system jedynek i zer wystarczyłby do wyrażenia wszelkich liczb. Gdybyśmy wtenczas chcieli napisać rok 1877, tobyśmy napisali 11101010101 i toby było wszystko jedno, bo 1 na jedenastem miejscu znaczy 1024, na dziesiątem 512, na dziewiątem 256, na siódmem 64, na piątem 16, na trzeciem 4, a na pierwszem (od końca) 1, suma zaś tego wszystkiego czyni 1877.

Arytmetyka taka, posługująca się tylko jedynką i zerem, nazywa się arytmetyką *dwójną* czyli z grecka *djadyką* i została wynaleziona przez Leibnitza. Gdyby był Leibnitz przyszedł na świat wprzód niż Pytagoras, to Pytagoras byłby niepotrzebny, gdyż w arytmetyce dwójnej można jest mnożyć nie ucząc się na pamięć żadnej tabliczki mnożenia. Że jednak Leibnitz spóźnił się trochę i ludzie się już za bardzo do *dekadyki* czyli arytmetyki dziesiętnej, oraz do tabliczki mnożenia przyzwyczaili, więc *djadyka* jego czyli arytmetyka dwójna pozostała sobie w muzeach nauki jako osobliwość nie służąca do praktycznego użytku.

Innym razem Leibnitz przypomniał sobie jak się uczył dodawać. Naukę dodawania rozpoczynają zwykle od dodawania po jednemu. Jeden a jeden to dwa, a jeszcze jeden to trzy, a jeszcze jeden to cztery i tak dalej. Filozofia to bardzo prosta, w rozumowaniu zamiast argumentów posługuje się palcami, dopóki ich tylko wystarczy, a jak palców zabraknie, to bierze w pomoc orzechy, ziarnka grochu itp. Wszyscy znamy tę filozofią. Ale Leibnitz już wówczas nie był małem dzieckiem i wiedział, że jedynka może być dodatnia a może być także ujemna, więc wziął naprzód dodatnią, dodał do niej ujemną, potem znowu dodatnią, potem znowu ujemną i tak dalej bez końca. Suma mu wypadała naprzemian raz 1, drugi raz 0, jeżeli dodał nieparzystą liczbę takich jedynek to miał zawsze 1, a jeżeli parzystą to zawsze 0.

Kto inny byłby na tem poprzestał, ale Leibnitzowi nie było tego dosyć. Zadał on sobie pytanie, jaka też będzie suma jeżeli takich jedynek ze zmieniającymi się kolejno znakami dodamy razem nieskończenie wiele. Naturalnie suma będzie 1 jeżeli ilość nieskończenie wielka jest nieparzystą, a jeżeli jest parzystą to suma będzie 0. Otóż stanęła przed Leibnitzem nielada kwestya: czy ilość nieskończenie wielka jest parzystą czy nieparzystą?

Jaki mały człowiek byłby sobie może powiedział, że to pytanie jest śmieszne. Parzystość i nieparzystość czyli podzielność lub niepodzielność przez 2, tak samo jak podzielność lub niepodzielność przez 3, 5, 7, 11 itd. jest właściwością tylko liczb s k o ń c z o n y c h i to nawet nie wszystkich, ale tylko całkowitych, pytać się więc czy ilość nieskończenie wielka jest liczbą parzystą lub nieparzystą, jest to samo co pytać się czy liczba $7^3/_4$ lub jakakolwiek inna ułamkowa jest parzystą lub nieparzystą. Tak samo śmiesznem byłoby pytanie czy ilość nieskończenie wielka jest liczbą pierwszą, czy też składa się z czynników i przez jakie mianowicie liczby pierwsze jest podzielną.

Tej uwagi, bardzo prostej i naturalnej, Leibnitz sobie nie zrobił, dlatego zapewne, że była zbyt naturalna i prosta, lecz zaczął rozumować inaczej.

Uciekł się do rachunku prawdopodobieństwa. Powiedział sobie, że ilość nieskończenie wielka jest to jakieś x, a jeżeli mamy jakąś ilość x, to równe zupełnie jest prawdopodobieństwo, że ta ilość będzie parzystą lub nieparzystą. Suma szukana będzie zatem równie prawdopodobnie 1 jak 0, żeby zaś z dwóch równie prawdopodobnych wypadków otrzymać wypadek najprawdopodobniejszy, trzeba te wypadki dodać i podzielić ich sumę przez 2. Tak uczy rachunek prawdopodobieństwa. Wykonał to działanie Leibnitz i ogłosił *urbi et orbi*, że jeżeli dodamy szereg złożony z samych jedynek, naprzemian dodatnich i ujemnych, jeżeli pierwsza jedynka jest dodatna, a wszystkich razem tych jedynek jest nieskończenie wiele, to nam wypadnie suma $^1/_2$.

Z dodawania więc i odejmowania samych i l o ś c i c a ł k o w i t y c h, samych jedynek, wypadł genialnemu myślicielowi u ł a m e k!

Było to dziwne, niepojęte, n i e p r a w d o p o d o b n e, choć niby z rachunku p r a w d o p o d o b i e ń s t w a wypadło, ale któż się na razie mógł mierzyć z Leibnitzem? *Magister dixit*, wszyscy to przyjęli w milczeniu.

Dopiero w 33 lata po śmierci Leibnitza przyszedł na świat śmiałek, który się poważył powiedzieć, że jego dodawanie było mylne. Śmiałkiem tym był inny wielki i genialny uczony, Piotr Szymon Laplace, twórca kosmogonicznej teoryi, na której dzisiejsze nasze pojęcie wszechświata opieramy. Zajmował się on także rachunkiem prawdopodobieństwa, według jego pojęć jednakże rozumowanie Leibnitza było błędnem.

Ale i Laplace matematycznie nie dowiódł dla czego było błędne, rachunkowej pomyłki w dodawaniu Leibnitza nie znalazł.

To też nie wszyscy uwierzyli mu na słowo. Powstał w matematyce kontrowers naukowy, jedni przyjęli zdanie Leibnitza, inni Laplace'a. Kwestja czy z dodawania jedynek może wypaść ułamek, została zaliczoną do dogmatów, o których wolno mieć rozmaite zdania, o których „wątpi kościół boży“, albowiem czy kto jest tego czy przeciwnego przekonania, zawsze na poparcie swego twierdzenia przytoczyć może po-

wagę jednego z wielkich doktorów matematycznego kościoła.

Nie dosyć na tem. W ostatnich już czasach, sławny matematyk francuski, zmarły przed 34 laty Lacroix, oświadczył się przeciw zdaniu Laplace'a, swojego ziomka, w bezstronności naukowej oddał słuszność twierdzeniu niemieckiego uczonego i w dziele swojem o rachunku różniczkowym i całkowitym przyjął zdanie Leibnitza, oświadczając, że przeciw przyjęciu go żadna nie zachodzi przeszkoda.

Od tego czasu szala przechyliła się nawet na korzyść Leibnitza i dziś mało kto już nie wierzy w jego twierdzenie, że suma szeregu złożonego z nieskończonej liczby jedynek ze zmieniającymi się znakami równą jest połówce.

Mimo jednak, że wiara ta stała się powszechną, ośmielamy się nie dzielić jej i twierdzimy, że zdanie Leibnitza było błędne. Twierdzenie nasze byłoby jednak gołosłownem i nie mającem żadnego znaczenia, gdybyśmy nie wykazali w czem leżała pomyłka. Postaramy się zatem to uczynić w sposób o ile można najprzystępniejszy, to jest, bez użycia rachunkowych wywodów, o ile się dadzą uniknąć. (Dok. nast.)

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

Dra Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W sprawie podniesienia oświaty w XVIII stul. słusznie przypisujemy początkową zasługę księdzu Stanisławowi Konarskiemu, który w szkołach pijarskich bezmyślną łacinę jezuitów zastąpił jasną i treściwą francuzczyzną; a w ten sposób stał się krzewicielem wpływu francuskiego i nowych wolnomyślnych zasad, tak że pod pewnym względem Durini, nuncyusz papieski, miał słuszność, obwiniając go o szerzenie wolteryanizmu w Polsce. Szkoły pijarskie, zreformowane przez znakomitego przeciwnika *liberum veto*, upowszechniały w Rzeczypospolitej zamiłowanie do francuskiej literatury i podnosiły pomiędzy szlachtą poczucie obywatelskie, gdy opak szkoły jezuickie rozwijały przeważnie służalczość i butę nadmierną. Ważną usługę dla podniesienia oświaty w Polsce okazał także drugi uczeń Leszczyńskiego, Józef Jędrzej Załuski, późniejszy biskup kijowski, gromadząc sam bibliotekę i rozbudzając w tym kierunku usiłowania po całym kraju. Zebrana jego zabiegami biblioteka, obejmująca 300.000 ksiąg i kilkanaście tysięcy rękopismów a z którą zaledwie tylko kilka księgozbiorów europejskich porównać się mogło, została otwartą w 1747 r. dla użytku publicznego. Za przykładem Załuskiego zakony i bogate rodziny zaczęły zakładać biblioteki a tem samem roznieca̜ły chęć do czytania, podówczas bardzo słabą — jak świadczą o tem współcześni pamiętnikarze. Nadto błogie skutki w sprawie rozwoju obywatelskich uczuć i humanitarnych przekonań wywarła założona w 1765 r. przez króla Stanisława Augusta szkoła rycerska, zwana także korpusem kadeckim. Panował w niej silny wpływ francuski, do czego przyczynił się i sam jej komendant, książę Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich, wykształcony pod okiem Francuza de Menetta. Korpus kadetów dostarczył „znamienitych jenerałów, posłów, uczonych a przedewszystkiem ludzi wielkiego serca i charakteru, którzy sławę Polski umieli utrzymać nawet poza granicami jej grobu, krótko mówiąc, najgłośniejsze imiona w dziejach ostatnich czasów wyszły z tej szkoły: Kościuszko, Kniaziewicz, Niemcewicz, Jasiński, Józef Orłowski, Kazimierz Nestor Sapieha, Sokolnicki, Michał Kochanowski, Rembielińscy i tylu innych miało honor być kadetami, jak się wyrażała formuła ich kodeksu. To pewna, że sejm czteroletni, powstanie, legjony i księstwo Warszawskie najwięcej szczyciło się ludźmi wyszłymi z korpusu kadetów“ *). Wprowadzona na dobre tory sprawa oświaty szybko się rozwijała, znajdując liczną i rzetelną pomoc w wybitniejszych mężach ówczesnej epoki. Na wniosek Joachima Chreptowicza, na sejmie 1775 r. ustanowiono komisyę edukacyjną i uposażono ją dobrami i funduszami, pozostałymi po zniesionym zakonie jezuitów. Było to pierwsze ministerstwo oświaty narodowej w Europie. Instytucya ta, licząca w swem gronie najznakomitszych mężów swego czasu, odznaczała się rozległością swych planów, liberalnością rozporządzeń i niezmordowaną gorliwością pracy. Z jej ramienia, Kołłątaj zreformował akademią krakowską a Poczobut szkoły na Litwie. Zakładano seminarya nauczycielskie, mnożono szkoły, kreślono znakomite i wolnomyślne przepisy dla nauczycieli, wzbogacono zakłady bibliotekami i zbiorami naukowymi. Celem zaopatrzenia szkół w dobre naukowe podręczniki, na wniosek Ignacego Potockiego, zawiązano Towarzystwo ksiąg elementarnych, które zasiliło naszą pedagogiczną literaturę bardzo pożytecznemi dziełami. Rozciągnięto troskliwą opiekę nad szkołami parafialnemi, a ksiądz Grzegorz Piramowicz napisał kilka wzorowych elementarnych dziełek.

Upowszechniająca się literatura francuska rozsiewała wolnomyślne zasady encyklopedystów, lubo przez długi czas ślizgały się one tylko po powierzchni przekonań, nie sięgając do głębi. Przeniknęły one nawet do szkół jezuickich, pomimo wiedzy nauczycieli i przełożonych, jak przykład tego mamy na Kajetanie Węgierskim. Podróż do Francyi wprowadziła wielu w bezpośredni stosunek z jej literaturą i nowemi zasadami. Trembecki przejął się tam niedowiarstwem i sceptycyzmem; Naruszewicz, Niemcewicz, Kościuszko**) gorący zwolennik Jana Jakóba Rousseau, Staszic przyjaciel d'Alemberta, zaczerpnęli ztamtąd ducha wolnomyślności. Idee humanitarne wyznawano głośno: wielu to czyniło z popisu, jak n. p. biskup Massalski, który przy obradach w 1774 r. nad Radą nieustającą przemawiał przeciwko karze śmierci; jak książe Sułkowski, który na sejmie 1773 r. pochwalał odezwanie się Oraczewskiego na korzyść włościan, lubo swojemi uwagami osłabiał wrażenie tego przemówienia, który na sejmie 1776 r. swoją przemową przyczynił się nawet do tego, że zniesiono tortury i potępiono wiarę w czarownice. Dzika sarmacka natura, zetknąwszy się z nowymi poglądami i polerowanym obyczajem francuskiego narodu, łagodniała w obejściu się swojem z ludem wiejskim **). Pojawili się nawet zwolennicy radykalnych reform, jak Hugo Kołłątaj, ks. Franciszek Jezierski, zapalony Wojciech Turski, Franciszek Salezy Dmóchowski, Staszic i inni. Dzieła francuskich filozofów i publicystów tłumaczono na język polski: Monteskiusza — o przyczynach i upadku Rzymian 1762 r. (Wiśniewski i Baxter pijarzy), „Duch praw“ 1764 r., w „Monitorze“ ustęp o poddaństwie we Francyi przed Ludwikiem VII z dzieła d'Argensona — i ustępy z Emila Rousseau — 1765 r., oraz „Duch praw“ Monteskiusza 1766 r., Mably'ego — uwagi nad upadkiem Grecyi — 1770 r., Listy Perskie 1777 r., O początku i zasadach nierówności pomiędzy ludźmi Rousseau — 1784 r. i t. d. Język francuski wreszcie w tym czasie stał się tak powszechny, że większość wykształconych ludzi czytała francuskich pisarzy w oryginale. W bibliotekach prywatnych przeto w Polsce często można znajdować dzieła Woltera, Rousseau, Monteskiusza i innych pisarzy z tego czasu, które po większej części sprowadzano w XVIII lub na początku XIX stul.

Zdania francuskich myślicieli o Polsce budziły wielki interes w naszym narodzie. Zwłaszcza powtarzano uwagi, wypowiedziane przez Monteskiusza, Rousseau i Mably'ego. Autor „Ducha praw“ ostro się wyraża w tem dziele o porządku społecznym w Polsce. Niepodległość każdego obywatela jest celem praw polskich — powiada — a skutkiem ich ucisk wszystkich. Szlachtę polską nazywał najgorszą arystokracyą, ponieważ w jej rękach spoczywał rząd; władani zaś przez nią włościanie byli jej cywilnymi poddanemi, a więc zupełnymi niewolnikami. Mably i Rousseau poświęcili nawet Polsce osobne dzieła. Stało się to z następującego powodu. Michał Wielhorski, będąc posłem w Paryżu od jeneralności konfederacyi barskiej, przedstawił kilku znakomitym pisarzom dzieło swoje traktujące o historyi, rządzie i prawach Polski, i prosił, aby wypowiedzieli oni swoje uwagi co do zmian, jakie wypadałoby koniecznie zaprowadzić w ustroju Rzeczypospolitej celem jej umocnienia. Mably i Rousseau pośpieszyli uczynić temu zadość. Pierwszy przedstawił swoje uwagi w 1771 r., drugi na początku 1772 r. Pierwszy, na studyach historycznych zaprawiony do trzeźwiejszego zapatrywania się na sprawy polityczne i dokładniej

---

*) „Żywot Tadeusza Kościuszki — Siemieńskiego, Kraków, 1866 str. 21. Jenerał Paczkowski, odznaczający się w ogóle sądami bardzo ostremi, niesłusznie ocenia tę szkołę. W „Dziejach Tadeusza Kościuszki pierwszego naczelnika Polaków“ (Kraków, 1872) powiada: „Szkoła ta w wewnętrznym swym składzie w trybie chowania młodzieńców, w sposobie dawania im nauk i ćwiczeń, w doborze nauczycieli, odgłosem tylko została obcej nazwy i próżną z niej chlubą. W niemałej liczbie uczniów jeden Kościuszko się szczególniej odznaczył.“ str. 7. Powyższe wyliczenie nazwisk przeciwnie bardzo świetnie świadczy o szkole.

**) Kościuszko w 22. r. życia wyjechał do Paryża, był tam 1764-1773 r.

**) Oto co pisze jeden ze współczesnych o tych, co wyjeżdżali za granicę. „I takie półgłówki za wywiezione skarby niewielkie oświecenie do kraju wprowadzili, jednak choć się powracali często z nadwerężonem zdrowiem i zepsutemi obyczajami, przecież te obcowania z polerowanemi narodami przynajmniej srogie umysły ułagodziły i los nieszczęśliwy niewolniczego rolnika nieco znośniejszym czyniły. A choć też trzpiotowate peregrynanty domowe cnoty i wady w inne obyczaje zamienili, jako to pospolicie pijaństwo w lubieżność, politykowanie w żarciki etc, przynajmniej nieludzkie i dzikie okrucieństwo w litującą się ludzkość przemienili tak iż pod tymi sfrancuziałymi paniczami podddaństwo już daleko łagodniej traktowane bywało, i może poczęści tym postronnie ułagodzonym obyczajom winniśmy zachowanie jakiejś części rolniczych nędzarzów, z którychby starożytna obyczajów srogość, kraj jeszcze bardziej była wypleniła.“ Str. 21 i 22. Uwagi nad uwagami czyli obserwacye nad książką, która w roku 1785 wyszła pod tytułem: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana w. k.“ Wydanie Turowskiego, Kraków, 1861.

obeznany wskutek całorocznego pobytu w Polsce z jej ustrojem, doradza wzmocnienie władzy i skonsolidowanie organizmu społecznego; drugi, idący bardziej za popędem swej wyobraźni i niechęci do monarchizmu, znajduje porządek, panujący w Rzeczypospolitej lepszym, aniżeli gdzieindziej, i mniema, że nie należy go odmieniać, jeno uzupełnić w istniejącym duchu i kierunku. Mably z większą surowością ocenia stosunki społeczne w Polsce, aniżeli Rousseau, i dlatego prawdopodobnie mniej rozgłosu i uznania uzyskał w narodzie naszym *). (C. d. n.)

*) Tłumaczenie polskie dzieła Rousseau pojawiło się już w 1784.

UCIECZKA WIĘŹNIA STANU.

przez J. S. S.

(Dokończenie.)

Chcąc zmylić poszukiwania moskiewskiej policyi, Dąbrowski postarał się za pomocą komisarza rządu Narodowego, że francuskie dzienniki napisały o jego ucieczce i o przybyciu do Paryża. Manewr ten udał się wyśmienicie. Moskale przeczytawszy o tem, przestali poszukiwać, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób więzień mógł dokonać ucieczki.

Przesiedziawszy miesiąc cały w Moskwie, Dąbrowski zdecydował się pojechać do Petersburga, żeby tam zaczerpnąć wiadomości o żonie. Lecz, że w Moskwie łatwiej można było otrzymać paszport zagraniczny jak w Petersburgu, Dąbrowski udał się osobiście do kancelaryi jenerał-gubernatora prosząc o paszport. Sekretarz kancelaryi, widząc elegancko ubranego człowieka i zoczywszy brylantowy pierścień na ręku jego, z największym pospiechem i grzecznością wypełnił blankiet według dokumentów podanych jemu, i doręczył go proszącemu.

Mając wszystko co mu było potrzeba, Dąbrowski siadł na kolej i bez żadnych trudności dostał się do drugiej stolicy carów. Tu najął trzy mieszkania w różnych częściach miasta, żeby na wypadek jakiego niebezpieczeństwa mieć możność ukryć się natychmiast. Potem obaczył się z komisarzem rządu Narodowego i otrzymał od niego trochę pieniędzy nadesłanych z Warszawy, bo tam już wiedziano nie tylko o ucieczce jego, lecz i o miejscu pobytu.

Od komisarza rządu Narodowego, Dąbrowski dowiedział się, że żona jego z ciotką została zasłaną do Włodzimierza nad Klaźmą, i że jeden ze znanych przywódzców powstańczych, Jundził, znajdujący się w więzieniu w ordynanshauzie w Petersburgu, oczekuje wyroku śmierci. Znając dobrze Petersburg i stosunki miejscowe, Dąbrowski polecił komisarzowi uwiadomić natychmiast Jundziła, aby udał chorego, żeby go umieszczono w drugim wojskowym szpitalu, gdzie zwykle posyłają chorych przestępców, gdyż ztamtąd uciec bardzo łatwo. Jundził zastosował się do danej mu rady, spuścił się szczęśliwie na ręcznikach z drugiego piętra w szpitalu i dostał się na swobodę. Potrzeba było jak najprędzej wysłać go za granicę. Dąbrowski oddał mu papiery swoje i paszport zagraniczny i wtedy, gdy policya zarządziła poszukiwania za zbiegiem w stolicy, on już się znajdował w drodze do Francyi.

Powstanie polskie już się chyliło ku upadkowi. Mnóstwo zbiegów, poszukiwanych przez policyą moskiewską w Polsce, znajdowało się w Petersburgu, szukając środków dostania się za granicę. W oczekiwaniu odpowiedzi od żony, Dąbrowski w jednym z pomieszkań swoich założył formalne biuro paszportowe. Sam sfabrykował pieczęć państwową i inne, jakie były potrzebne do tego rodzaju dokumentów i zajął się wysyłaniem nieszczęśliwych skompromitowanych za granicę. Pasporty te były doskonale podrobione, bo ani jeden ze zbiegów nie został przytrzymany.

Porozumiawszy się i tu z członkami rewolucyjnego towarzystwa moskiewskiego, zakomunikowawszy im to, co się zrobiło w Moskwie i wlawszy w nich otuchę i energią, Dąbrowski zaczął myśleć o własnym wyjeździe za granicę, bo dłuższe zatrzymywanie się w stolicy, z powodu silnej reakcyi, która nastąpiła po upadku powstania polskiego, stało się bardzo niebezpieczne.

Nie chcąc jednak narażać się na niebezpieczeństwo wyjazdu z fałszywym paszportem zdecydował się i w Petersburgu popróbować środka, który mu się udał tak świetnie w Moskwie, to jest otrzymać paszport legalny z kancelaryi jenerał-gubernatora.

Niepodobna nie podziwiać niezmiernej odwagi Dąbrowskiego w tym wypadku. W Petersburgu uczęszczał do wojennej Akademii jeneralnego sztabu, w Petersburgu miał mnóstwo znajomych... Na każdym kroku mógł być poznanym i już nie przez zdradę, lecz przez nieostrożność wpaść w ręce czujnej policyi. Ale Jarosław wierzył w swoję przytomność umysłu, w gwiazdę swoję i w szczęście, które go nigdy nie zawiodło dotychczas.

Ubrawszy się jak niegdyś w Moskwie, w południe, udał się do kancelaryi jenerał-gubernatora, przynosząc z sobą nowe jakieś dokumenta dostarczone mu przez komisarza rządu Narodowego na imię dymisyonowanego oficera. Bogate ubranie i dystyngowane obejście się wywarły w kancelaryi taki sam wpływ, jak i w Moskwie. Lecz w chwili gdy urzędnik doręczał mu paszport gotowy, Dąbrowski usłyszał za sobą brzęk ostróg i odwracając się spostrzegł dawnego kolegę swego, Moskala, byłego adjutanta, który przybył do kancelaryi w jakimś interesie. Adjutant wytrzeszczył oczy, obaczywszy człowieka, o którego cudownej ucieczce trąbiły wszystkie dzienniki. Dąbrowski zrobił mu znak milczenia. Kolega zrozumiał i odwróciwszy się, zaczął się przypatrywać obrazom wiszącym na ścianie, a Dąbrowski spokojnie wyszedł z pokoju, siadł do dorożki i popędził do domu w największej obawie, żeby kolega namyśliwszy się nie wydał go, bo dość było jednego skinienia, żeby go zgubić. Na szczęście dawny kolega był uczciwym człowiekiem...

Przyjechawszy do domu, Dąbrowski znalazł kartkę od żony, że jest już uwiadomioną o ucieczce jego i że przygotowała się na zrobienie wszystkiego, co mąż uzna za stosowne. Nie było czasu do stracenia; siadł więc na kolej żelazną i wyruszył na Moskwę do Włodzimierza, lecz nie zatrzymał się w tem mieście, a przejechał o dwie stacye dalej na wschód, do małego miasteczka, zkąd chciał się porozumieć z żoną i nakreślić plan ucieczki.

Z hotelu, w którym zamieszkał, za pomocą znajomych, z którymi już poprzednio skomunikował się, polecił żonie dnia następnego udać się na przechadzkę za miasto i tam około rogatki oczekiwać przyjazdu jego. Zoczywszy pojazd powinna była machnąć chustką, żeby się zatrzymał i prosić go o podwiezienie do najbliższej stacyi.

Na drugi dzień z rana Dąbrowski wyruszył napowrót do Moskwy. Nie dojeżdżając do Włodzimierza, na ostatniej stacyi najął konie nie do Włodzimierza, ale o jedną stacyą naprzód, dla tego żeby woźnica wrócił nie do Włodzimierza, ale dalej na wschód i przez to utrudnić poszukiwania, gdyby ucieczka pani Dąbrowskiej została odkryta, chociaż nie było obawy, że to prędko nastąpi, bo zasłana z ciotką, chociaż była pod dozorem policyi, mieszkała jednak na swobodzie.

Około rogatki już oczekiwała pani Dąbrowska, ubrana bardzo skromnie z małym tylko zawiniątkiem, gdy pokazała się trójka pocztowych koni, wiozących jej męża. Według umowy zaczęła machać chusteczką. Dąbrowski kazał woźnicy zatrzymać konie.

— Czy nie będzie pan łaskaw — rzekła po moskiewsku, podwieść mnie, do następnej stacyi?

— Dobrze, moja pani, jeżeli woźnica zgodzi się na to. Co chcesz za dowiezienie pani tej do następnej stacyi zapytał?

— Dajcie pół rubla, za to powiozę prędko.

— Dam pół rubla, rzekła pani Dąbrowska siadając do wozu.

— Woźnica świsnął na konie, pył otoczył powóz i dwoje małżonków nie śmiąc mówić, żeby się nie zdradzić, ściskali się tylko za ręce i jak wicher pędzili po gościńcu rządowym.

Na następnej stacyi, gdy woźnica, który ich przywiózł, odjechał, Dąbrowski najął konie i pod wieczór z żoną, dla której w kieszeni miał przygotowany paszport, był już na stacyi kolei żelaznej. Z tamtąd nie zatrzymując się nigdzie, dojechali do Petersburga.

W stolicy już nie pozostali długo, dni kilka jednak stracił Dąbrowski na zakupienie dla żony bielizny i wszystkiego, co było potrzebne na drogę, bo wyjechała z miejsca wygnania prawie bez niczego.

Mając doskonałe paszporta, Dąbrowski najął dwa miejsca na szwedzkim statku jadącym do Sztokholmu i w trzy dni potem westchnął już pełną piersią na gościnnej ziemi Szwedów.

Wkrótce przyszła wieść z Włodzimierza do stolicy o zniknięciu p. Dąbrowskiej. Zaczęły się nowe poszukiwania, indagacye i aresztowania, bo sądzili, że może odkryją ślad Dąbrowskiego.

Dowiedziawszy się o tem z dzienników, Dąbrowski już na wyjezdnem do Francyi posłał list do władz policyjnych w Petersburgu, uwiadamiając ich, że już jest na swobodzie i w krótkości opisał im ucieczkę swoją i porwanie żony.

Nikt nie zaprzeczy, że ta romantyczna ucieczka dowiodła niesłychanej odwagi, hartu duszy, pewności siebie i poświęcenia sprawie, której służył, bo któż ze zbiegów tak jak Dąbrowski skompromitowanych, mając nieustannie miecz nad głową, odważyłby się wyrwawszy się na wolę, tracić czas na organizowanie tak zdradliwych towarzystw rewolucyjnych moskiewskich, na urządzanie biura paszportowego i na jazdy dla wykradzenia żony. To nie są czyny pospolitego człowieka, nie są postępki egoisty, ale szaleńca, lub człowieka genialnego.

Jak powiedziałem na wstępie, nie znałem go dawniej; lecz gdy w czasie ostatniej wojny, przed komuną, przeczytałem jego wojskowy artykuł, krytykujący czyny i rozporządzenia jenerała Trochu, tego blagiera na wielką skalę, gdy rozpatrzyłem środki, które on podawał dla zbawienia Francyi, musiałem przyznać z uniesieniem,

że to był genialny człowiek, stworzony na wodza, a który przy sprzyjających okolicznościach mógł się stać wielkim bohaterem.

Żałuję go, iż oddał się na usługi tej nieszczęśliwej komuny, która krwią i ruinami pokryła stolicę Francyi, nie podzielałem jego zbyt krańcowych przekonań, lecz nad świeżą jeszcze mogiłą oddaję sprawiedliwość wielkim zdolnościom, charakterowi, uczciwości, energii i żołnierskiej dzielności, niestety, za wcześnie zmarłego ziomka naszego. *J. S. S.*

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH

UKŁAD GWIAZD STAŁYCH.

Jednem z najbardziej zajmujących w dziedzinie astronomii zagadnień, najogólniejszem pytaniem jest tak zwany problemat kosmologiczny, którego celem ostatecznym jest zbadanie jak wszechświat *jako całość* się przedstawia. Słońce razem z planetami, które około niego krążą, jest tylko jednem małem ogniwem w ogromnym układzie gwiazd zwanych stałemi, jest jedną małą gwiazdą taką, jak miliony tych, które wśród nocy pogodnej na niebie widzimy. Wszystkie te słońca odległe są powiązane z sobą siłą ciążenia, która ich w przestrzeni bezmiernej utrzymuje, kieruje ich biegiem i łączy w jeden wielki mechanizm, w jednę całość, którą *układem gwiazdowym* nazywamy.

Jak planety krążą około swego środka przyciągania, około słońca, tak też i gwiazdy wszystkie a więc i słońce razem z nimi muszą mieć jeden punkt środkowy, około którego się obracają. Jeżeli siłę ciążenia przyjmiemy za siłę ogólną, której działanie dosięga gwiazd najbardziej odległych, to koniecznie przyjąć musimy istnienie takiego punktu; bardzo proste mechaniczne rozumowanie, które jednak opuszczamy jako wychodzące po za ramy naszego artykułu, doprowadza nas do tego wniosku.

Pierwsze pytanie, które się nam po przyjęciu tego wniosku nasuwa, jest to, gdzie leży ten środek, ten punkt, który ma moc taką, iż milionami gwiazd stałych rządzi, i każdej z nich drogę wyznacza? Odpowiedzi na to dokładnej dać jeszcze nie można, gdyż licznych i ścisłych danych nie ma, są jednak próby, powiększej części natury spekulacyjnej, które na ten przedmiot pewne światło rzucają. O jednej z takich prób chcemy dać sprawozdanie. Pan Jacob Ennis, słynny amerykański astronom ogłosił niedawno w *Procedings of the Academy of natural Sciences of Philadelphia 1876 Part. III p. 360* swoje zdanie o tym przedmiocie, które tu w streszczeniu przytaczamy.

Aby znaleźć środek jakiegokolwiek przedmiotu, trzeba przedewszystkiem wiedzieć jaką on ma formę, aby więc znaleźć środek naszego układu gwiazdowego trzeba wiedzieć, jaki on kształt posiada. Otóż badania pokazały, że zasadniczą formą jest tak zwana *droga mleczna*, która jest olbrzymim pierścieniem złożonym z milionów gwiazd stałych, nadzwyczaj od nas odległych. Według przybliżonych obliczeń ilość gwiazd składających ten pierścień dochodzi do 18 milionów, gdy wszystkich innych po za pierścieniem leżących ma być tylko około 2 milionów. Najznakomitsi i najwprawniejsi badacze nieba powiadają, iż przejrzeć mogą po za drogę mleczną i że tam już gwiazd nie spotykają, lecz widzą tylko ciemne i puste tło nieba. Jestto więc jednym z dowodów, że droga mleczna jest pierścieniem i że nie rozciąga się w płaszczyźnie aż do nieskończoności.

W ogólnym kierunku drogi mlecznej, mniej więcej na płaszczyźnie tego pierścienia znajduje się wiele mgławic, które przy pomocy silnych teleskopów przedstawiają się jako zbiorowiska gwiazd i które odróżniają się od innych mgławic głównie tem, że mają bardzo nieregularną postać. Prawdopodobnie należą one do naszego układu gwiazdowego i zajmują w nim takie stanowisko względnie do drogi mlecznej jak systemy Jowisza, Saturna i Urana do pierścienia asteroidów, krążącego razem z nimi około słońca.

W niektórych miejscach astronomowie nie mogli sięgnąć wzrokiem w przestrzenie niebios, leżące po za obrębem drogi mlecznej. Gwiazdy albo raczej mgławice wydawały się na pierwszy rzut oka nagromadzonemi aż do nieskończoności jedna za drugą. Daje się to tem wytłumaczyć, że badacze napotkali w tym kierunku mgławicę nie składającą się z grupy gwiazd, lecz z ciągłej, rozpalonej masy gazów, niepozwalającej oku przedrzeć się na stronę przeciwną.

Po za naszym układem gwiazdowym w bezmiernej przestrzeni znajdują się inne, które jako mgławice widzimy i które bardzo często mają formę regularną kulistą i eliptyczną. Są to całe układy gwiazdowe podobne do naszych. Ponieważ ich zarysy są wyraźne i ograniczone, więc trzeba przypuścić, że i nasz układ ma ściśle oznaczone granice, ma pewien kształt wyraźny. Lecz gdyby nawet kontury były zupełnie nieregularne, to pojedyńcze ciała składające system, mogłyby krążyć w drogach prawie kolistych; mamy tego przykład na nowym układzie słonecznym, który jako całość przedstawia się nieregularnie, a jednak każda z planet odbywa równą drogę około słońca zbliżoną do kolistej.

Odkrywanie nowych gwiazd nie sprzeciwia się wcale przypuszczeniu, że system nasz gwiazdowy jest ograniczony, ponieważ te gwiazdy nowoodkryte mogą być bliżej, niż inne a z powodu swej małości widziane tylko przy bardzo silnych powiększeniach. I wszystkie inne zarzuty przeciw ograniczoności formy naszego układu mogą być zbitymi i mamy wiele podstaw do sądzenia, że system nasz gwiazdowy jest mniej więcej okrągły, kształtu krążkowatego i że przeważna ilość gwiazd z których się składa, leży w płaszczyźnie drogi mlecznej.

Jeśli ten kształt przyjmiemy, to wyprowadzić zeń możemy wniosek jasny i niezbity, że środek naszego układu gwiazdowego, punkt około którego wszystkie gwiazdy nasze krążą, leży w płaszczyźnie drogi mlecznej. Również jasnem jest, że leżeć on musi w środku pierścienia, gdyż w ogóle gwiazdy są jednostajnie i równie gęsto rozrzucone we wszystkich kierunkach tego pierścienia. Wszystkie gwiazdy krążą z niezmierną szybkością około tego środka. Newton i jego następcy byli przekonani, iż gwiazdy stałe są tak od siebie odległe, że między niemi nie działa siła ciążenia. Pan Ennis pierwszy obliczył działanie siły ciążenia naszego układu słonecznego na gwiazdy stałe i przyszedł do zadziwiających rezultatów. Znalazł on np. że słońce nasze działa tak silnie na *α Centauri*, że gdyby ta gwiazda nie podlegała przyciąganiom z innej strony, to musiałaby krążyć około naszego słońca z szybkością 145 mil na sekundę, aby zdobyć siłę odśrodkową, która przeszkodziłaby tej gwieździe upaść na słońce. Jedna gwiazda działa tak silnie, a cóż dopiero miliony gwiazd rozrzuconych w przestrzeni! Jak niepojęcie olbrzymią musi być siła złączona wszystkich 20 milionów gwiazd składających nasz układ, z jaką potęgą są one przyciągane do głównego środka ciążenia i jak szybko muszą krążyć około tego środka, aby zdobyć siłę odśrodkową, równoważącą siłę przyciągania i uchronić się od zbicia się w jednę masę.

Słońce nasze razem z planetami w tym całym układzie gwiazdowym zajmuje miejsce położone na północ od głównej płaszczyzny drogi mlecznej, to jest po tej stronie, gdzie się znajduje Wielka Niedźwiedzica, a z przeciwnej strony Oriona. To nam tłumaczy, dlaczego na południowej stronie mlecznej więcej gwiazd widzimy, niż na północnej, gdyż i te gwiazdy, które leżą na północ od płaszczyzny drogi mlecznej, a na południe od nas, widzimy w stronie nieba południowej. Inne poszukiwania pana Ennisa wykazały, że znajdujemy się bliżej ku południowej części pierścienia mlecznego, że środek całego systemu gwiazdowego jest od nas tak odległy, jak gwiazdy piątej wielkości i znajduje się mniej więcej w kierunku konstellacyi Wieloryba w okolicach jego ogona.

Naturalnie, że te daty są tylko przybliżonemi, i że trzeba będzie jeszcze bardzo długich i trudnych obserwacyj, ażeby módz je dokładnie oznaczyć. Ale w tej chwili o to nie chodzi i takie rzeczy robią się bardzo powoli. Odkrycie przez Kopernika układu prawdziwego słonecznego nie straciło nic na swej doniosłości pod względem naukowym, chociaż nie znał on dokładnie odległości ziemi od słońca; przecież i dziś jeszcze tej odległości dobrze nie znamy i ciągłe obserwacye są w tym kierunku robione. Dość przypomnieć ile pracy poświęcono na obliczenie tej odległości parę lat temu, podczas ostatniego przejścia Wenery przez słońce.

W dalszym ciągu swej rozprawy podaje pan Ennis bardzo interesujące i ważne rezultaty poszukiwań nad czasem, którego gwiazdy znajdujące się na drodze mlecznej, potrzebują do odbycia swej drogi około głównego środka systemu gwiazdowego. Według Herschla światło od gwiazd znajdujących się w najbliższych częściach drogi mlecznej potrzebuje 2000 lat, aby dobiedz do naszego oka. Gdyby więc w tym pierścieniu zaszła jaka zmiana, tobyśmy się o niej dopiero za lat 2000 dowiedzieli. Przyjąwszy tę odległość i położenie centrum głównego według Ennisa, można łatwo obrachować czas obiegu którejkolwiek gwiazdy około tego centrum. I tak gwiazda, która jak *Arcturus* bieży z prędkością 3000 mil na minutę, potrzebuje 50 milionów lat do obiegu. Jeżeli przyjmiemy, że słońce nasze porusza się z szybkością 2000 mil na minutę, to potrzebuje ono do obiegu 2,640 000 lat czasu.

Te ogromne liczby, mimo całej swej niedokładności, doprowadzają nas do praktycznych rezultatów. Dowiadujemy się z nich, że koło, które słońce około środka głównej opisuje, jest bardzo wielkie, że w przeciągu 2 lub 3 set lat posuwa się ono prawie w jednym kierunku, dąży do jednego prawie punktu, bo tak w tym czasie opisany jest z powodu wielkiego promienia koła bardzo zbliżonym do prostej linii. Gwiazdy znajdujące się w drodze mlecznej poruszają się tak powoli, że jeślibyśmy z nadzwyczajną dokładnością oznaczyli miejsce jednej z nich, to dopiero przyszłe pokolenie mogłoby pewną zmianę położenia rozpoznać.

Ponieważ ruchów gwiazd dotychczas dokła-

dnie nie znamy, więc nie możemy powiedzieć, w którym kierunku obraca się droga mleczna. Widzimy tylko jasno, jak ważnem jest dokładne zdjęcie planu tego pierścienia, żeby przyszłe pokolenia astronomów mogły dowiedzieć się, jakie drogi przebiegają gwiazdy około głównego środka ciążenia.

HOMERA ILIADY PIEŚŃ VI.

Pożegnanie Hektora z Andromachą.

Dalszy ciąg walki. Szczęście po stronie Achiwów. Helenos nakłania Hektora, aby się udał do miasta i polecił Hekubie błagać Ateny o ratunek Troi. Glaukos i Dyomedes występują do walki, poznają się jednak jako przyjaciele gościnni, i pomieniawszy się zbroją, rozchodzą się w zgodzie. Hektor spełnia polecenie Helenosa, Hekuba wraz z innemi matronami trojańskiemi prosi Ateny o zmiłowanie, ale nadaremnie. Hektor udaje się do mieszkania Parysa i nakłania go do wzięcia udziału w walce, poczem spieszy pożegnać się z żoną swoją Andromachą; następnie udaje się z Parysem na pole walki.

O własnych teraz siłach *) waleczne Argiwy
Wiodą bój z Trojanami. Hałas, szczęk straszliwy
Zaległ całą równinę, którą z jednej strony
Przerżyna Xant, a z drugiej Simois spieniony.

Naprzód Ajas się rzuca, gdzie go walka woła,
Łamie Trojan szeregi, a wszyscy dokoła
Nabierają odwagi. Pada z trąckich wojów
Akamas, syn Eussora przedniejszy z herojów.
Dzielny syn Telamona ku niemu przyskoczy,
Silnym rzutem grot ostry wrazi między oczy,
Że się z wózka nieżywy ku ziemi przechyla.

Wraz chrobry Dyomedes zabija Aksyla,
Teuranidę, co w ludnej Arysbie się rodził;
Miał dostatki, więc wszystkim przechodniom wygodził,
Podejmując ich w domu, co stał podle drogi,
Teraz nikt go od śmierci nie uchronił srogiej,
Nikt pomocy mu nie dał. Musiał zginąć marnie.
Z nim razem Ais **) do się Kaleryosa garnie,
Co mu druhem był w walce, a końmi kierował.

Wnet Ofeltya i Dreza z zbroi obrabował
Eurgal. Wskok na innych rzuca się w tejchwili:
Aizepa i Pedaza, co się urodzili
Z Nimfy Abarbarei i Bukoliona.
Ten zasię swój początek wziął z Laomedona:
. . . .
. . . . Ku nim to przypada
I pozbawia ich zbroi bitny Mekistyada.

Tuż śmiały Polypojtes zabija Artyala,
Zasię Odys Pydytę na ziemię powala
I ściąga zeń rynsztunek, toż Tenkr z Aretona.
Antyloch Nestoryda Ablera pokona,
Agamemnon Elata w dom Hadesa zsyła.
Dochodził on z Pedazu, przez który się wiła
Rzeczułka Salinois;) Lejtos grotem godzi
W Filaka, a Eurypil w krwi Melantya brodzi.

Wnet pochwycił Adresta Menelayos mściwy.
Miał ogniste rumaki młodzian nieszczęśliwy.
Te, spłoszywszy się, wózkiem o zarośl wrześniowy
Zaczepiły, i łamiąc dyszel w dwie polowy,
Pobiegły, dokąd cały biegł tabun spłoszony:
Ku miastu. Adrest z swego siedzenia zrzucony
Głową w piasek się zarył. Tuż stanął Atryda,
A w ręku jego długa zabłysnęła dzida.
Adrest go za kolana objął pełen trwogi:

„Litości Menelaju! Mnie ten świat tak drogi!
Nie zabieraj mi życia! Gdy się ojciec dowie,
Żem żyw, że mię w niewoli mają Achajowie,
Da ci okup niezmierny. Wszak jest tak bogaty
W złoto, srebro, żelazo i przeróżne szaty."

Rzekł tak i wzbudził litość w sercu bohatera,
Menelaj woła giermka i już się zabiera
Odesłać go na okręt, gdy wtem niespodzianie
Agamemnon zadyszan przed swym bratem stanie:

Menelaju! zawoła, co czynisz szalony!
Czy chcesz, żeby ten wróg nasz został ocalony?
Zapomniałeś jak ci się wrogi przysłużyli?
O nie, niech się z nich żaden śmierci nie uchyli,
Nawet dziecię, co jeszcze w matki łonie żyje!
Wszystkich niech bez wyjątku żyzna ziemia skryje!"

Rzekł k' rzeczy Agamemnon, choć nieco z gorąca;
Więc Menelaj Adresta od siebie odtrąca,
A brat topi w nim kopię około podbrzusza.
Nieszczęsny tylko jęknął, I już się nie rusza;
Więc kopnął go Atryda i wyciągnął włócznię.
Wtem Nestor do Achiwów tak przemawiać pocznie:

„Ulubieńcy Aresa, danajscy heroje,
Niech nikt walki nie rzuca kusząc się o zbroję,
By wrócił na okręty łupem obciążony.
Teraz wrogów bić trzeba. Po walce skończonej
Możecie sobie trupów obdzierać bezpiecznie."

Na te słowa Argiwy znów natrą walecznie.
Trojan męstwo opuszcza, szyk ich tył podaje,
Tuż za nimi ku miastu wskok pędzą Achaje,
Wtem stanął przy Eneju i Hektorze boskim
Helenos, pierwszy wróżek w grodzie pryamowskim
I tak woła:

„Eneju, Hektorze dostojny.
Na was teraz spoczywa całe brzemię wojny:
Macie z Trojan i Lików najdzielniejsze ramię
I najmędrsze pomysły. Nuże, stańcie w bramie,
Wstrzymujcie naszych, by się nie znaleźli w mieście.
Szydziliby wrogowie, żeśmy się w niewieście
Rzucili uściśnienia, wyrzekłszy się znoju,
Gdy ich tak do dalszego nakłonicie boju,
Wznowimy walkę, choć nam nie sprzyjają nieba.
Potem wskok ci do miasta Hektorze biedz trzeba:
Tam powiesz naszej matce, niech zwoła matrony
Do świątyni Ateny na zamku wzniesionej
I niechaj im wejść każe do wnętrza przybytku.
Następnie niech w komorze z całego dobytku
Wyszuka najprzedniejsze, jakie ma odzienie
I w darze pięknowłosej przyniesie Atenie.
Niechaj także przyrzecze, że jej ofiaruje
Dwanaście jałóweczek, jeśli się zlituje
Nad miastem, kobietami i niewinną dziatwą,
Jeśli wstrzyma Tydydę, co nieci tak łatwo
Popłoch w sercach trojańskich. Straszliwa to chwila,
Gdy on stanie do boju! nawet Achila
Myśmy tak się nie bali, choć to on rej wodzi
Wśród mężów, i jak mówią, z bogini się rodzi.
W męstwie z nim porównania żaden nie wytrzyma.
Lecz on zelżon wciąż teraz na swoich się zżyma."

Takiemi słowy brata Hektor nakłoniony
Prędko z wózka zeskoczył, jak był uzbrojony,
I wstrząsając spiżową włócznią dodał ducha
Trojanom: w trwożne serca wstąpiła otucha,
Toż zwróciwszy się, wrogom postawili czoło.
Argejowie wnet rzezi przestali w około,
Sądząc że jaki bożek walkę Trojan dzieli.
Więc zachwiani, z pod miasta spiesznie się cofnęli.
Wtedy Hektor do Trojan w te słowa przemawia:

„Troje i sprzymierzeńce, co was świat wysławia,
Stańcie wrogom naprzeciw jak silne opoki!
Ja tymczasem do miasta pospieszę bez zwłoki,
Powiem, niech każdy starzec i każda niewiasta
Pomodli się do bogów za pomyślność miasta."

Tak rzekłszy szybko zdąża w Ilionu mury.
W koło tarczy powiewa kawał czarnej skóry.
Uderzając z podmuchem wiatru w jego ciało.

Gdy tak wojsko trojańskie odwagi nabrało,
Glaukos, syn Hippolocha naprzód się wychylił.
Wystąpił też Dyomed. Gdy się już zbliżyli,
Rzekł Tydyda: „Ktoś ty? za dawniejszych czasów
Nigdym ciebie nie widział w pośrodku zapasów,
Nigdym wszcząć z tobą boju nie miał sposobności.
Teraz widzę, że nikt twej nie zrówna dzielności.
Skoro pragniesz się zmierzyć z mą włócznią straszliwą,
Jeszcze mało kto wyszedł z walki ze mną żywo!
Biada matkom, jeżelim bił się z ich synami!
Wzdy możeś ty Bóg jaki? O, jabym z bogami
Zapasów nie chciał wszczynać! Wszak mi dobrze znany
Los Likurga, co wdał się w zatargi z niebiany,
Wiem jak on porozpraszał na Nizei świętej
Piastunki Dyoniza, jak one swe pręty
I pochodnie rzucały, uciekając z krzykiem
Przed mężem, co ich grzbiety chciał okładać stykiem.
Sam nawet Dyonizos drżąc od przerażenia
Szukał aż na dnie morza, u Tetys schronienia
Lecz jakiż smutny żywot wiódł Likurg od chwili
Swojej zbrodni! Bogowie go znienawidzili,
Zeus nań zesłał ślepotę, — toż wkrótce świat rzucił.
Więc jak mówię, z bogami nie będę się kłócił,
Lecz jeśli się znajdujesz w śmiertelników rzędzie,
Chodź bliżej, Ajs cię wkrótce u siebie mieć będzie!"

(C. d. n.)

*) Pieśń piąta skończyła się na tem, że bogowie, którzy dotychczas po obu stronach udział w walce brali, na rozkaz Zeusa usunęli się z pola bitwy.

**) Ais, Aides, Hades, nazwiska boga podziemia.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

X.

Tam i napowrót.

Na wezwanie Henryka, inżynier, Madge i mąż jej, przebyli ciasny otwór tworzący komunikacyą pomiędzy komorą Dochart i świeżo odkrytą kopalnią.

Znaleźli się na początku dość szerokiego chodnika, a tak regularnego, jakby wykuty był według planu ręką i kilofem doświadczonych górników. Zwiedzający to miejsce ze zdumieniem zapytywali się sami siebie, czy los kapryśny nie sprowadził ich przypadkiem do eksploatowanej już dawniej kopalni, o istnieniu której najstarsi nawet ludzie zapomnieli.

Nie, bynajmniej!... Chodnik ten utworzyły same pokłady geologiczne, w owej epoce gdy formowały się warstwy drugorzędne. Być może, iż drogą tą spływały niegdyś wody zewnętrzne, dążące do połączenia się z zagrzebaną roślinnością, ale dziś łożysko ich było suche, jak gdyby wykutem było o parę tysięcy stóp niżej, wśród skał granitowych. Obok tego, świeże powietrze, jakie znaleźli w chodniku, wyraźnie świadczyło, że nowa kopalnia posiada dostateczną łączność z atmosferą zewnętrzną.

Inżynier pierwszy zwrócił uwagę na tę nader ważną okoliczność. Co zaś do gazu błotnego, jaki wydobywał się przez szczeliny łupku a w galeryi nie dał się uczuć, niewątpliwem już teraz było, że pochodził on jedynie z tak zwanej „jamy węglowej", i ulotnił się po wysadzeniu skały dynamitem. — Przez ostrożność wszakże, Henryk wziął z sobą tylko lampę bezpieczeństwa, której światło wystarczyć mogło na dwanaście godzin.

Inżynier i towarzysze jego przejęci byli niewymowną radością. Rezultat przewyższył ich oczekiwania. Z wielkiego wzruszenia postępowali naprzód w głębokiem milczeniu, sam nawet Szymon hamował swój zapał, objawiający się pomimo tego wykrzykami zadowolenia, wyrywającemi się od czasu do czasu z jego piersi.

Było to może nieroztropnością z ich strony

zapuszczać się tak głęboko w nieznaną pieczarę. Ale ktoby tam myślał o powrocie! Galerya wygodna, niezbyt kręta, żadne rozpadliny nie tamują drogi; żadnych w niej wyziewów szkodliwych — szli więc tak przeszło godzinę, nie mając najmniejszej wskazówki pod względem kierunku, w jakim prowadził ich ten nieznany tunel.

I bezwątpienia, byliby szli dłużej jeszcze, gdyby nagle nie stanęli u kresu galeryi.

Przed nimi znajdowała się olbrzymia jaskinia; nieprzenikniona, panująca w niej ciemność, nie dozwalała rozpoznać ani jej wysokości ani głębi. Przy świetle lampy poszukiwacze nasi zdołali zaledwie dostrzedz, że samo wnętrze jaskini zajmował wielki obszar stojącej wody — staw czy też jezioro — którego brzegi przeciwne kryły się w cieniach nieprzerwanej nocy.

— Stać! — zawołał Szymon Ford, zatrzymując się nagle. — Jeszcze jeden krok dalej, a bylibyśmy może wszyscy stoczyli się w jaką przepaść!

— Zatem odpocznijmy trochę, moi przyjaciele — rzekł na to inżynier. — Trzeba by już także pomyśleć o powrocie.

— Lampa wystarczy nam jeszcze na dziesięć godzin, panie inżynierze — odezwał się Henryk.

— W każdym razie nie zaszkodzi wypocząć — powtórzył inżynier. Przyznam się wam, że jestem cokolwiek zmęczony. Myślę, że i naszę Madge musiała znużyć tak długa droga.

— Nie bardzo, panie James — odpowiedziała dzielna Szkotka. — Przywykliśmy tu już do całodziennych nieraz wycieczek przy zwiedzaniu starej kopalni.

— Eh! — dodał Szymon — gdyby było potrzeba, Madge dziesięć razy odbyłaby tę samę drogę. — Ale ja powtarzam swoje, panie inżynierze: czy nie miałem słuszności wzywając tutaj pana? może pan zaprzeczysz!... no, no, powiedz pan, że nie!

— Powiem ci tylko, mój stary, że dawno już nie byłem taki uradowany! — odpowiedział z uśmiechem inżynier. — Z tego cośmy dotąd widzieli, wnosić można, że tak cudownie odkryta kopalnia jest bardzo rozległa, przynajmniej na długość.

— Nie tylko na długość, panie James, ale i na szerokość i na głębokość! — odparł żywo Szymon.

— O tem dowiemy się później.

— A ja dziś już mogę zaręczyć, że tak jest. Spuść się pan na doświadczenie starego górnika. Nie zawiodło mnie ono nigdy jeszcze.

— Chętnie ci wierzę, Szymonie, bo o ile wnosić mogę z tego, cośmy dotąd zwiedzili, mamy materyału do eksploatacyi na kilka wieków.

— Co to, kilka wieków! — zawołał oberman. — I tysiąc lat minie, a nowe pokłady nasze jeszcze nie zostaną wyczerpane!

— Oby Bóg cię wysłuchał! — powtórzył James Starr. — Co zaś do gatunku węgla, jaki się tu znajduje...

— Wyborny jest! — przerwał mu Szymon — wyborny, panie James! Sam pan zobacz!

To mówiąc, uderzył motyką i odrąbał kawał czarnego kamienia.

— Patrz pan, patrz! — mówił, przyświecając lampą. — Powierzchnia jego jest połyskująca, błyskotliwa. Będziemy mieli przepyszny tłusty węgiel, obfitujący w części smolne. Ah, panie James! gdyby tak dwadzieścia lat wcześniej, pokłady te zrobiłyby wielką konkurencyę kopalniom w Swansea i Cardiff. No, ale i tak dobijać się będą o nasz węgiel, a chociaż koszta eksploatacyi będą niewielkie, na zewnątrz nie będzie on tańszym od innych.

— Rzeczywiście — rzekła Madge po dokładnem obejrzeniu węgla — jest to węgiel w najlepszym gatunku. Zabierz Szymonie tę bryłę na folwark; niechaj pierwszy odłam węgla z nowej kopalni na naszej spali się kuchni!

— I owszem — odrzekł jej stary górnik.

— Panie inżynierze — zapytał w tej chwili Henryk — czy masz pan jakie pojęcie o kierunku w jakim ciągnie się prawdopodobnie główna galerya Nowej Aberfoyle?

— Najmniejszego — odpowiedział inżynier. — Gdybym miał ze sobą busolę, mógłbym może chociaż w przybliżeniu oznaczyć miejscowość; ale bez busoli, jestem tu jak marynarz na pełnem morzu zaskoczony nagłą burzą, wśród której nie może rozpoznać w jakiej znajduje się świata stronie.

— To być może — odparł Szymon — ale proszę pana, panie James, nie porównywać naszego położenia z położeniem marynarza, mającego zawsze i wszędzie przepaść pod nogami! My znajdujemy się tu na stałym lądzie i niepotrzebujemy obawiać się zatonięcia!

— Nie wyrządzę ci tej przykrości, mój stary — odpowiedział z uśmiechem inżynier. — Ani mi przez myśl nie przeszła chęć ubliżenia nowej kopalni Aberfoyle niesprawiedliwem porównaniem! Chciałem przez to tylko powiedzieć, że nie wiemy gdzie się obecnie znajdujemy.

— Jesteśmy pod gruntami hrabstwa Stirling — wyrzekł stanowczo Szymon Ford — a tak pewną jest to rzeczą, że gotówbym...

— Posłuchaj ojcze — przerwał mu Henryk. Zamilkli wszyscy i za przykładem młodego górnika, z wielką nadsłuchiwali bacznością. Henryk, jako urodzony i wychowany w cichych podziemiach, miał słuch nader bystry i wyrobiony; i teraz też nie omylił się. W górze po nad nimi, rozlegał się pewien rodzaj nieustannego głuchego grzmotu, którego miarowe *crescendo* i *decrescendo*, jakkolwiek przytłumione, wyraźnie dochodziło do uszu naszych poszukiwaczy.

Słuchali tak przez chwilę, ani jednem słowem nie przerywając głębokiego milczenia.

— Na świętego Mungo! — zawołał nagle Szymon Ford — czyżby tam na górze miały się toczyć już wagony naładowane węglem z Nowej Aberfoyle?!

— A mnie się zdaje, ojcze — rzekł Henryk — że to szum fali rozbijających się o nadbrzeżne skały.

— Nie jesteśmy przecież pod morzem! — odparł Szymon.

— Nie pod morzem — wmieszał się do sprzeczki inżynier — ale zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, że znajdujemy się pod łożyskiem jeziora Katrine.

— Muszą więc te sklepienia być bardzo cienkie, skoro dochodzi przez nie szum wody.

— Że nie są zbyt grube, dowodzi już sama wysokość tych pieczar.

— A pamiętajmy także, że przy dzisiejszej niepogodzie, jezioro musi być niemniej od morza wzburzone.

— Eh! cóż to nas wreszcie może obchodzić! — zawołał oberman. — Sąsiedztwo jeziora nie wpłynie ujemnie na wartość naszych pokładów; czyżby to był pierwszy wypadek wydobywania skarbu z łona Oceanu? a chociażby nam przyszło podkopać się pod sam kanał Północny, któż miałby nam co do zarzucenia?

— Masz słuszność, stary — powtórzył inżynier, nie mogąc ukryć uśmiechu, jaki wywołał na jego usta zapał uradowanego powodzeniem górnika. — Wedrzyjmy się pod łożysko Atlantyku! Za pomocą motyki połączmy się podmorską tą drogą z braćmi naszymi ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki! Zapuśćmy się, jeśli będzie tego potrzeba, w sam środek ziemi by wydrzeć z jej łona ostatni kawałek węgla!

— Czy to żarty, panie James? — zapytał go Szymon cokolwiek drwiącym tonem.

— Ja miałbym żartować! Nigdy, stary mój towarzyszu! Ale zapał twój i mnie się udzielił i ja sam zacząłem mimowoli marzyć... wróćmy jednak do rzeczywistości, która i tak już nader świetnie się przedstawia. Zostawmy tu nasze narzędzia, mogące nam się przydać na drugi raz, i powracajmy na folwark.

Nateraz, rzeczywiście, nie pozostawało nic więcej do zrobienia. Dalszych niezbędnych poszukiwań dokona już inżynier przy pomocy oddziału górników, zaopatrzonych w lampy i odpowiednie narzędzia, ale przedewszystkiem należało powrócić do komory Dochart. Powrót ten zresztą nie przedstawiał żadnych trudności. Galerya którą przebyli, ciągnęła się prawie w prostej linii aż do otworu zrobionego wybuchem dynamitu, zbłądzić więc było prawie niepodobna.

W chwili jednakże gdy opuszczając pieczarę, mieli już wstąpić do galeryi, stary oberman zatrzymał inżyniera:

— Panie James — rzekł — widzisz pan tę jaskinię o kolosalnych rozmiarach, to zamknięte w niej jezioro podziemne, tę płaszczyznę wreszcie obszerną, rozciągającą się po nad milczącem wód zwierciadłem — podobało mi się to miejsce — tu zbuduję nowy folwark, przeprowadzę się niebawem w nową dziedzinę — że zaś, jak tego prawie pewny jestem, wielu z dzielnych naszych robotników, zechce pójść za moim przykładem — przekonasz się pan, że zanim rok czasu upłynie, jedno miasto więcej przybędzie w łonie naszej starej kochanej Anglii!

Wzruszony inżynier uścisnął z współczuciem dłoń poczciwego górnika i wszyscy czworo puścili się z powrotem ku folwarkowi.

Pierwszą milę drogi przebyli bez żadnego wypadku. Henryk szedł naprzód trzymając lampę po nad głową. Skrupulatnie pilnował się głównego chodnika, nie zbaczając na prawo ani na lewo, zdawało się przeto, że powrót odbędzie się również pomyślnie jak i droga w tamtą stronę, gdy niespodzianie zaszła okoliczność stawiająca ich w nader groźnem położeniu.

Wspomnieliśmy już, że Henryk niósł lampę po nad głową; otóż w jednym z obszerniejszych przedziałów galeryi, zaszumiało coś nagle w powietrzu na podobieństwo olbrzymich skrzydeł, lampa uderzona z boku wypadła z ręki Henryka, rozbiła się o skalistą posadzkę, pogrążając wszystkich w zupełnej ciemności.

— Cóż to, Henryku — zawołał Szymon Ford — chcesz żebyśmy karki poskręcali w tej otchłani, zanim powrócimy do domu?

Henryk nic nie odpowiedział. Rozmyślał on i zastanawiał się, czy świeży ten wypadek nie jest również dziełem tajemniczej istoty? Miałżeby więc w głębiach tych przebywać wróg niewidzialny, usiłujący wszelkiemi sposobami przeszkodzić eksploatacyi nowych pokładów węglowych? Przypuszczenie podobne mogło wydawać się zrazu

niedorzecznością, fakta jednakże kazały twierdzić inaczej, a początkowe domysły wobec nagromadzenia się tych faktów, zmieniały się w niewątpliwe prawie dowody.

Tymczasem poszukiwacze nasi znaleźli się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Wypadało im wśród największych ciemności przebyć około pięciu mil do końca galeryi, a następnie, mieli jeszcze przeszło godzinę drogi do folwarku.

— Idźmy dalej — rzekł Szymon. — Nie mamy ani chwili do stracenia. Musimy iść pomacku jak niewidomi; nie potrzebujemy przecież obawiać się, abyśmy mieli zabłądzić trzymając się głównej galeryi. W ten sposób zajdziemy do otworu; dalej, w starej kopalni, będziemy już jak w domu. Ileż to razy przebiegaliśmy całą komorę Dochart po ciemku; nieprawdaż Henryku? A zresztą przy otworze znajdziemy nasze lampy.— Naprzód więc! Ty, Henryku, pójdziesz na czele, pan inżynier za tobą, dalej Madge, a ja będę na końcu; nadewszystko nie rozłączajmy się, a nie mogąc trzymać się za ręce, idźmy przynajmniej noga w nogę.

Instrukcya starego obermana była słuszną pod każdym względem; idąc w ten sposób nie powinniby zabłądzić, należało tylko oczy zastąpić ręką i pocieszyć swe losy w opiekę doświadczonych górników, jakimi byli Henryk i jego ojciec.

Szli przeto w nakazanym porządku, nie mówiąc nic do siebie. Wszyscy głęboko byli zamyśleni i rzeczywiście było nad czem pomyśleć! Widoczną już było rzeczą, że mają groźnego jakiegoś nieprzyjaciela. Ale kto on był i w jaki sposób bronić się przeciw tajemniczym jego napaściom! Niepokojące te myśli cisnęły się mimowolnie do głowy — nikogo jednak nie zniechęcały one do dalszych usiłowań w rozpoczętem dziele.

Henryk szedł pewnym krokiem z wyciągniętemi przed siebie rękoma. Przechodził kolejno od jednej do drugiej ściany, aby się przekonywać czy bezwiednie nie zboczył w inną poprzeczną galeryę, jakich było mnóstwo w najrozmaitszych kierunkach.

Wśród nieprzeniknionych ciemności, z któremi oko nie mogło się oswoić, trudny ten powrót ciągnął się już około dwóch godzin. Rozważając miarę upłynionego czasu, inżynier obliczał, że powinniby już znajdować się pobliżu otworu.

I rzeczywiście, prawie w tej samej chwili, Henryk zatrzymał się.

— Czy już jesteśmy na końcu galeryi? — zapytał go ojciec.

— Już.

— Musiałeś więc znaleźć przejście łączące Nową Aberfoyle z komorą Dochart?

— Nie, ojcze, nie znalazłem dotąd — odpowiedział Henryk, macając napróżno wznoszącą się przed nim skałę i nie mogąc w niej znaleźć najmniejszego otworu.

Stary oberman podszedł ku łupkowej ścianie i sam zaczął po niej szukać.

Jeden tylko okrzyk wydobył się z jego piersi.

Okrzyk ten zrozumieli wszyscy i wyrażał on, że albo zmylili drogę wracając, albo też że otwór wyżłobiony dynamitem został napowrót zamurowany.

W każdym razie James Starr i jego współtowarzysze byli zamknięci w czeluściach Nowej Aberfoyle. (C. d. n.)

MARYA DERYNG

W Krakowie.

„. . . najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładą."

powiedział Słowacki. Nie wiem, czy panna Marja wie o skrzydłach duchów natchnienia przytulonych do jej ramion... Nie wiem, czy wie, lecz jestem pewny że słucha, gdy jej szepcą tajemnice uczuć ludzkich — sprowadzają wulkaniczne wybuchy serca lub skarżą się cichą boleścią przebaczenia zrozpaczonej duszy. Nie wiem tego, czy wie o tem — i rad jestem wierzyć — i wierzę, że nie wie, idąc mimowiednie za tymi szeptami w zaczarowaną krainę piękna, dostępną tylko tym, którym duchy skrzydła na ramionach kładą, i tym, którzy słuchać ich szeptów chcą i potrafią.

Analiza nie jest właściwą młodej dzieweczce z sercem, przepełnionem uczuciem, o głosie metalicznym, zdradzającym dźwiękiem, że płynie z serca, i przenika do duszy dobrego człowieka. Niechaj jak najdłużej idzie za głosem natchnienia, za szeptem duchów, które kładą skrzydła na jej ramiona. Niech idzie, aby na drodze do niedościgniętego nigdy celu bratać się z prawdą, zapomnieć o wszystkiem, być tylko sobą—z duchami. Nikogo nie widzieć, nikogo nie słuchać, iść naprzód, gdzie jedna, jedyna prawda na takiej wyżynie wzniesiona, że aż dochodzi do ideału i staje się pięknem.

Analizę niech nam zostawi, albo lepiej niech nas porwie za sobą, aby nam bicie serca nie pozwalało rozważać, uniesienie sądzić, łzy dojrzeć wad. Niech nas porwie za sobą i oczaruje — i z krytyków zrobi niewolników.

Ten kto działa, nie ma czasu na rozwagę, wielcy ludzie nie piszą historyi, znakomici artyści nie rozbierają swej gry, rola to tych, którzy milczą i patrzą.

Patrzałem milcząc i nie wiem zkąd, jak i za co, prześladował mnie gdym patrzał Słowacki:

Mówisz ty o tem, jak ta co się skarży?
O nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem....

szeptałem sobie patrząc na piąty akt „Fausta" Göthego, który niczem nie jest, jak tylko skrystalizowaną sumą boleści ludzkich, przypomnieniem rozkoszy i nędz tego świata, a skargą oburzenia uszlachetnionej natury ludzkiej, na nieodwołalną konieczność praw przyrody, despotycznego porządku świata i smutnych dziejów ludzkości.

Akt piąty „Fausta" Göthego jest *skargą* przechodzącą przez całą gamę uczuć ludzkich, zacząwszy od przypomnienia i tęsknoty, a skończywszy na pęknięciu serca z oburzenia i boleści. Tak akt piąty jest tylko skargą. Czy młoda dziewczynka grająca tę rolę, odgadła jego filozofią, wyanalizowała spekulatywnego ducha niemieckiego męża?... Z pewnością że nie, a jednak cały jej piąty akt jest tylko skargą rozdzierającą serce. Skarga jest motywem w tej uwerturze pełnej burz, okropności, tkliwych westchnień i pieszczoty przepełnionego miłością serca. Nikt tej dziewczynie tego nie powiedział, i gdyby duchy nie położyły skrzydeł swych na jej ramionach, nie odgadłaby tej tajemnicy, która nie przestała nią być dla wielu filozofów...

Odgadła skargę i skargą witała, skargą pieściła i płakała. Cieszyła się nadzieją skarżąc i przerażała się okropnością w skardze. Motyw ten od początku do końca utrzymany został bezwiednie, i dla tego tak potężnie i tak prawdziwie, że aż się dziwić należy, zkąd tyle uczucia pomieścić może się w jednem sercu, tyle go odrazu wyrzucić, i zawsze jeszcze posiadać nieprzebrane skarby. Skarżyć się sercem i kochać wspomnieniem, radością i boleścią miłości. Słuchałem, bicie serca odebrało mi rozwagę, uniesienie sąd, jakaś powłoka zasłoniła mi oczy, czyli inaczej zostałem porwany, wzruszony, nie dojrzałem wad, bo gdzież ich nie ma, patrząc przez mikroskop z niecierpliwością znalezienia, z pragnieniem odkrycia i z radością, że się nareszcie coś znalazło. Rachel i Ristori w ten sposób śledzone nie wytrzymałyby krytyki. Otóż Rachel i Ristori posiadały czar, który wytrącał mikroskopy z rąk, a zawracał głowy.

I nasza artystka nie pozwalała nam badać i śledzić, bo nas zaczarowała. A na skuteczne czary potrzeba wielkiego artyzmu, wielkiego natchnienia i przepełnionego uczuciem serca. Potrzeba, aby „duchy skrzydła na ramionach kładły." One tam są i „jak łabędzie zadumane siedzą."

Biedne serce ludzkie upostaciowane w Małgorzacie nie mogłoby znieść w ostatnim akcie „Fausta" nagromadzonych wrażeń okropności i uniesień serca, gdyby dusza nie była pogrążoną w śnie letargicznym na pół nieprzytomnym, umysł egzaltacyą nie rozstrojony. Ten sen błąkający się po wspomnieniach, z przerażeniem patrzący na okropną przyszłość, łagodzi grozę sytuacyi, rozczula i przyciąga do biednej ofiary. Lgniemy do niej sercem, do tej Małgorzaty, którą widzimy. I tem więcej lgniemy, im więcej artystka pozwala nam patrzeć nie na siebie, lecz na zrozpaczoną Małgosię.

Kurtyna spadła, światła gaszono, i ja przebudziłem się ze snu letargicznego, oprzytomniałem, czar przeszedł, widać duchy mnie odleciały. Zabrała je z sobą nie wiedząc o tem artystka. Niewiadomości, jakim ty jesteś urokiem dla tych, którzy dużo przeżyli. Jaką ty jesteś siłą dla natchnienia, młodości i zapału.

* * *

„Fałszywe Blaski." Jeden z moich przyjaciół powiedział mi, że jest to arcydzieło ściśnięte przez autorkę w hydraulicznej prasie jednego aktu. Zgadzam się w zupełności na to zdanie. I gdyby sztuka ta rozbitą była na trzy akta, pewno przedstawianoby ją we wszystkich teatrach Europy, a nad artystką grającą rolę bohaterki, autorka nie potrzebowałaby się pastwić przez cały długi akt, dając jej tyle do zniesienia, tyle do przejścia drażliwych sytuacyi, upokorzeń, wybuchów, udręczeń i walk. Wszystko razem, odrazu na dwadzieścia minut, to za wiele!

Tu już natchnienie nic nie pomoże, do takiej roli potrzeba aktorki obarczonej trzydziestoma co najmniej latami, i dziesięcioletnią służbą na deskach teatru, aby potrafiła sobie rozłożyć na tempa, i obliczyć na efekta wszystkie rany zadawane jej przez szczególnych przedstawicieli społeczeństwa, za jej egzaltacyą i zbyt gorączkowe gonienie za ideałem.

Za duszno było bohaterce sztuki w ciasnem kole mieszczańskiem. Rwała się do słońca i dziwnie szukała skrzydeł u.... Któraż kobieta rozumna, z lepszemi przeczuciami szukać będzie dla siebie skrzydeł u profesyonistów literackich!?

Nieznajomość ta stosunków i ludzi w rozumnej bohaterce komedyi, posunięta aż do naiwności, robi przykre wrażenie. Sztuka chybia celu, bo widzowie z pewnym rodzajem niechęci i gniewu myślą:

„Po cóż tam szukała, w tej warstwie kantorzystów biur redakcyjnych.“ I tym sposobem tendencya sztuki zdaje się robić wrażenie omyłki w poszukiwaniach. Bo gdyby znalazła człowieka prawdziwie szlachetnego i wyższych poglądów, byłaby szczęśliwą, tłumaczymy ofiarę. A znalazłaby go z pewnością tego rodzaju kobieta, gdyby nie szukała wśród koteryi kantorzystów literackich.

Któż tu więc ukarany? pewno nie rzemieślnicy literatury.

Gra panny Maryi w tej roli porywała nas wywołując uniesienia i oklaski. A jednak razem z artystką czuliśmy znużenie i żal, że się nad nią pastwią..

Czy to dla podniesienia efektów, czy też z powodu wpływów odmiennych stosunków, odmiennych wzorów, innej szkoły: zobaczyliśmy w artystce pewne ruchy, wprawdzie mało znaczące, powiem jednak, że one nie płynęły z natchnienia, czyli nie były szeptem duchów, co swe skrzydła kładą na ramiona wybranych. Ruchy te mogą być bardzo efektowe, można za nie otrzymać oklaski, mogą czarować tłumy. Lecz my w tej chwili nie myślimy o tłumach i oklaskach, bo zawsze pragniemy mówić wobec artystki o sztuce, a więc tylko o pięknie i prawdzie.

Znękana boleścią i zawodami kobieta nie kurczy nerwowo paluszków, gdy chce dłoń przyłożyć do rozpalonego czoła.

Biedna ofiara, oślepiona fałszywemi blaskami, zmaltretowana przez męża, znęcana przez literackiego kantorzystę, podrażniona przez młodzika, chodzi jak zamknięta w klatce — lwica.

— Patrz, patrz — szepnął mi mój przyjaciel na przedstawieniu — czy ruchy te nie przypominają ci centkowanej pantery?

Uśmiechnąłem się, widząc przed sobą młodą dzieweczkę łagodną i sympatyczną. Uśmiechnąłem się, lecz mimowoli rzucona myśl wracała. Przetarłem oczy, chcąc patrzeć jak człowiek usiłujący otrząść się z widziadeł.

— Nie, nie — zawołałem — ruchy te nie są ruchami nakrapianej pantery. Lecz są to ruchy kobiety rozdrażnionej i nerwowej, której wewnętrzne usposobienie zgadza się z rozdrażnieniem wymaganem w roli, na scenie, a przez co gra staje się drażliwszą, i ruchy czasem przypominają... Protestuję, nie przypominają pantery, chociaż są ciche i miękkie, a we wzrotach swoich gwałtowne.

Więcej ciszy, pomyślałem sobie, więcej spokoju, dla tego łagodnego dziecka, czasu do wejścia w siebie, szerokiego widnokręgu do odetchnięcia całą piersią, i spojrzenia w niezgłębioną przestrzeń smiało, a w przyszłość życia wesoło! Więcej uśmiechów w jej życiu, i więcej szczęścia dla znękanej szlachetnemi pragnieniami duszy! A wtedy talent jej, wyidealizuje się, zaokrągli, przejdzie w subtelne cieniowania, — przeczuć.... Wtedy będzie snuć z wdziękiem i swobodą pajęczynową tkankę uczuć ludzkich, lub jak uragan szarpać nam serca i wydobywać potoki łez.

Czasami skutkiem rozdrażnionych nerwów nie słyszy szeptów duchów, chociaż one zawsze, jako łabędzie na jej ramionach zadumane siedzą.

Talent to potężny, obejmujący w skali swej wszystkie przejawy drgań serca ludzkiego, a do zupełnej dojrzałości potrzeba mu światła i ciepła. Pod promieniami słońca nazwanego szczęściem i radością, uśmiechem i swobodą, która pozwala patrzeć w błękit, i kochać się w ciszy drgającej w przestrzeni, żeby aż można było usłyszeć rozmowy aniołów, lub ciche jęki znękanej ludzkości, wypięknieje i wyidealizuje się. Ciszy jej dajcie i wejścia w siebie, odpoczynku, który się nazywa: miłością, zadumą, cichem westchnieniem, nieokreślonem pragnieniem, rzucaniem myśli do nieba, lub wsłuchiwaniem się w szepty duchów, co jak łabędzie zadumane na jej ramionach siadają.

Ciszy jej potrzeba, a gdy powróci i stanie pośród nas, cisza zachwytu będzie dokoła i zdziwieni ludzie pytać się będą:

„Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w niem obmywać pióra....“

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la marine française pendant la guerre de l'indépendance américaine. Par. E. Chevalier, capitaine de vaisseau. Londres et Paris. Hachette.

La défense de Paris. Par le général Ducrot. Vol. 3. Paris. Dentu.

Corréspondance du comte de Serre. Annotée et publiée par son fils Vol. 5. 6. Paris: Vaton.

Dictionnaire universel des littératures: Par G. Vapereau. Paris Hachette.

Un homme d'autrefois: souvenirs recueillis par son arrière petit-fils, le marquis Costa de Beauregard. Paris: Plon.

La société et les moeurs allemandes. Traduit par Victor Tissot: Paris: Dentu

L'espèce humaine. Par A. de Quatrefages. Paris: Germer Bailliere.

La terre a vol d'oiseau Par Onésime Reclus, Paris: Hachette.

Petite astronomie déscriptive. Par C. Flammarion. Paris: Hachette

Pan *Chevalier* kapitan marynarki francuskiej wziął sobie za temat dziełka w grubem 8vo historyą francuskiej marynarki podczas wojny amerykańskiej o niepodległość. Mało epok jest tak sławnych w dziedzinie tego rodzaju służby dla kraju i mało jest tak niedokładnie zbadanych. Mniemają ogólnie, że nadmierna ostrożność Ludwika XVI i jego gabinetu paraliżowała działania admirałów, i szkodziła ich powodzeniu. Atoli p. Chevalier utrzymuje, że jakkolwiek z początku ostrożnośc była nadzwyczajna, to jednak w dalszym ciągu walki nastąpiła zupełna zmiana w kierunku tej sprawy. W przedmowie autor podaje treściwą historyą marynarki francuskiej, poczynające od XVII stul. aż do naszych czasów. Dzieło p. Ch. jest dobrze napisane, oparte na pracach powag najznakomitszych i zajmujące, ze względu na to, że traktuje o przedmiocie który nawet Francuzom nie jest dokładnie znany.

Jednocześnie ukazał się trzeci tom opisu obrony Paryża smutnej pamięci jenerała *Ducrot*. Opisuje on wypadki, które miały miejsce w miesiącu Grudniu 1870 r. a więc wycieczkę w kierunku Le Bourget, bitwę pod La Ville-Evrard i bombardowanie wschodnich fortów. Styl p. Ducrot jest szorstki i ostry, wręcz przeciwny temu akademickiemu, którego pan Thiers używa. Obok faktów tyczących się samej wojny znajdujemy tu wiele dokumentów politycznych a głównie sprawozdań z czynności rządu prowizorycznego. Te ostatnie podawane są bez żadnych komentarzy. „Im dalej postępują nasze sprawozdania“ powiada p. Ducrot, tem silniej bije nam w oczy niezdecydowanie, słabość i ślepota, które doprowadzić musiały do katastrofy, której się obawiano, do bezwarunkowej kapitulacyi“. W tych słowach streszcza się dążność pracy generała.

Hr. G. de Serre wydał ostatnie 2 tomy nadzwyczaj zajmujących pamiętników swojego ojca. Po rozwiązaniu gabinetu księcia Richelieu, wielki autor i mąż stanu, który piastował urząd kanclerza, mianowany został ambasadorem w Neapolu i starał się tam zapomnieć o wzruszeniach życia parlamentarnego wśród włoskich muzeów i galeryi obrazów. Pierwsze cztery tomy tego dzieła poświęcone były polityce; w dwóch ostatnich listy mają po większej części charakter prywatny za wyjątkiem pisanych do Chateaubrianda w sprawie kampanii hiszpańskiej. Pomiędzy zaprzyjaźnionymi korrespondentami hr. Serre, a znajdujemy historyka Niebuhra, który się o nim z największą admiracyą wyrażał. Znajdujemy tam także listy hr. Chamborda, Berryera i Montalemberta.

Wyszły nareszcie ostatnie zeszyty *Dykcyonarza literatury* pana Vapereau. Jest to praca nadzwyczaj pożyteczna dla uczących się i dla literatów. Łączy ona zalety leksykonu biograficznego z zaletami rozpraw i krytyk literackich i podaje rezultaty najnowszych poszukiwań w dziedzinie filologii, historyi i estetyki. Do pewnego stopnia podręcznik ten zawiera działy stanowiące części Bouilletowskiego *Dykcyonarza historyi* i tegoż autora (Vap.) *Dykcyonarza Współczesnych*; lecz części dodane tutaj wynoszą więcej niż połowę całego dzieła, a oprócz tego artykuły biograficzne zostały starannie przejrzane, poprawione i uzupełnione.

Człowiek z dawnych czasów o którego biografii podajemy sprawozdanie, dobrze jest znany wszystkim tym, którzy czytali korrespondencye hr. Józefa de Maistre. Pan *Costa de Beauregard* żył tak długo, że widział ostatnie lata monarchii, Rewolucyą i pierwsze powodzenia generała Bonaparte. Pierwsze rozdziały tego dzieła wprowadzają nas do paryskiego towarzystwa w jego najświetniejszych chwilach, i przedstawiają nam salon pani Geoffrin w którym Marmontel, Rochefoucauld, Greuze, Diderot, Cochin i wielu innych dysputowali o literaturze, sztuce i filozofi. Beauregard, urodzony w Sabaudyi, został wysłany w wieku młodzieńczym do Paryża, aby dokończył swej edukacyi, wygładził się i wypolerował w towarzystwie najpierwszych mężów nauki swego czasu. Z tego czasu podaje Costa w pierwszych listach do domu pyszne opisy osób i rzeczy między któremi się obracał, i jak się mu one na pierwszy rzut oka przedstawiły. Marmontel jest w rozpaczy, że cenzura królewska nie przepuściła mu *Belizaryusza*, Wolter drwi z Frérona, pani Geoffrin odczytuje swym gościom listy otrzymane od Stanisława Augusta, Greuze robi odrazu przykre wrażenie podejrzliwem usposobieniem i skąpstwem. Rozmaitość scen opisywanych w tem zajmującem dziele, historyczne osoby wplatane gęsto w kanwę opowiadania, i opisy szlachetnych lecz bezowocnych walk Sabaudyi z Rzecząpospolitą, nadają całości zajmującą barwę, która głównie wygrywa z powodu osobistego charakteru

*

Beauregarda, w którym zasady dzielne i szczere, dowcip i patryotyzm zgodnie podały sobie ręce.

Pan *Tissot* autor znanych powszechnie dzieł antypruskich, z pomiędzy których najpopularniejszem jest *Voyage au pays des milliards*, wydał obecnie tłumaczenie książki Dra. Jana Scherra traktującej o Niemczech. Pan Tissot nazywa swoje tłumaczenie *une pièce justificative* swoich poprzednio ogłoszonych poglądów. Republikanin w 1848 r. a obecnie zapalony zwolenik cesarstwa niemieckiego, Dr. Scherr jest jednym z najpopularniejszych w Niemczech pisarzy; bardzo często porównywano go z Micheletem i może on być uważany za najlepszego przedstawiciela owego liberalizmu niemieckiego, który swój racyonalizm miarkuje wielką dozą narodowych przesądów. Dzieło, o którem mówimy opisuje niemieckie towarzystwo, politykę, sztukę i literaturę ostatnich czasów. Nie odznacza się ono oryginalnością poglądów, lecz zawiera wiele zajmujących i dobitnych szczegółów, chociaż nieraz wątpliwej natury.

Nowe dzieło p. *Quatrefages'a* *O rodzaju ludzkim* jest ważnym przyczynkiem do literatury nauk przyrodniczych. Prawa i granice spekulacyi może nigdzie dotąd nie były tak ściśle oznaczone. Studyuj, doświadczaj, rozbieraj — powiada — lecz w obec kwestyi nierozwiązalnych uznaj twą niewiadomość. Pan Quatrefages nie jest jednym z tych błędnych rycerzy spirytualizmu, którzy szkodzą tylko własnej sprawie swą niewiadomością i podejrzliwością. Zawsze się odwołuje do faktów, które starannie zbiera i analizuje i chociaż jest jawnym przeciwnikiem szkoły materyalistów, to jednak występowaniem swem dał przykład dyskusyi pełnej umiarkowaniu, przykład godny do naśladowania, szczególniej w obozie przeciwnym.

Wielu bardzo uczonych ma wielki pociąg do popularyzacyi nauk, coraz bardziej znika ciężka szata formalizmu z dzieł najznakomitszych mężów nauki, a z drugiej strony i pokup na dzieła zwiększa się nadzwyczaj szybko. Jednem z dobrych dzieł popularnych jest wydane obecnie przez p. *Onesima Reclus* dzieło pod tyt.: *Ziemia widziana z lotu ptaka.* Jestto podręcznik geograficzny ładnie illustrowany i oparty na najlepszych powagach.

Znane są powszechnie dzieła p. Kamilla Flammariona, astronoma francuskiego, z których jedno „Wielość światów zamieszkanych“ zostało na nasz język przełożone. Pan F. pisał już bardzo wiele dzieł treści dość popularnej, lecz nie na tyle, żeby wszyscy bez przygotowania mogli je czytać. Otóż p. *Delon* zebrał w jednę całość ważniejsze rzeczy z prac p. Flamariona i przedstawił je w sposób najzupełniej przystępny. Ułożyła się z tego książka bardzo przyjemnie się czytająca i bardzo pożyteczna.

Jedną z najbardziej uderzających cech obecnej francuskiej literatury pięknej jest wielki popęd do przedstawiania społeczeństwa rosyjskiego i to powiększej części ze strony dlań najpochlebniejszej. Podłość i czołobitność niektórych autorów dla Moskwy dochodzą do granic możliwych. Dla Polaków, którzy odwieczą dla Francyi żywili sympatyą, jestto cios przykry i bolesny, lecz mający tę dobrą stronę, że wyleczy nas na reszcie z dawnych, a jak się pokazało niejednokrotnie, niczem nieumotywowanych sympatyj.

Dzieł pisanych w takim duchu pokazało się kilka i w ostatnim miesiącu, lecz wolimy je pominąć milczeniem i pogardą.

LISTY Z KRAKOWA.

I.

Wielka polityka, a polityka gospodarstwa krajowego u nas, są to dwa odrębne działy, dobrze się wyrażę, gdy powiem dwa odrębne światy, niepodobne do siebie jak marzenia, fantazya a rzeczywistość, jak przypuszczenia niepodobne są do faktów! Polityk pływający po wielkich wodach europejskich horoskopów, jest w tym samym stosunku do gospodarza krajowego, co płytki marzyciel i próżniak — do człowieka trzeźwego, praktycznego i rozumnego.

Dotąd w kraju niestety, pomimo otwartych dróg dla gospodarstwa krajowego, mamy przeważnie w prowincyi ludzi pływających po wielkich wodach polityki europejskiej, a bardzo mało rzetelnych pracowników.

Dziwić się temu nie można, społeczeństwo jest i musi być takiem, jakiem go wychowują opiekunowie, a nakazują wypadki, stosunki i pozycya. Społeczeństwu galicyjskiemu przez lat sto, czyli przez czas czterech pokoleń nie zostawiono nic — jak tylko wolność marzenia. Marzenia podsycane nadzieją, tworzą dziwolągi, tem szczególniejsze, im więcej mają za sobą prawdopodobieństwa. Marzenia, oparte na prawdopodobieństwie, wyradzają mniemanie o łatwości spełnienia od jednego zamachu zmian w kierunku wyznaczonym. Marzenia wyradzają marzycieli, jeżeli marzycielstwo odpowiada charakterowi narodowemu, do niczego nie zobowiązuje, do żadnych ofiar, nic nie wymaga, a daje jeszcze przy parze długich butów i zawiesistej kapocie tytuł patryoty.

Dano samorząd! Długie buty i zawiesiste kapoty, tłumnie zbierały się u Kosza, Fuchsa, Wentzla i Fedorkiewicza, radząc przy winie i piwie o wielkich przewrotach na wiosnę, o małych koncesyach jakie otrzymali i o żądaniu ustępstw co najmniej podobnych w swych rozmiarach do odrębności węgierskiej. Z tego to i podobnego usposobienia prądów opinii w prowincyi — wyrodziła się sławna owego czasu r e z o l u c y a, ogłoszona i przyjęta przez sejm przed samym zamierzonym i cofniętym przyjazdem cesarza Franciszka Józefa do Galicyi.

O ile rezolucya była krokiem politycznym, jako ideał i cel prowincyi składającej swe pragnienia u stóp tronu, o tyle jako postawione natychmiastowe żądanie nie miała możności bytu, tylko dla tego, że nie było tych, którzyby dane ryczałtowo koncesye wprowadzić chcieli i umieli w czyn. Społeczeństwu z politycznego marzycielstwa zejść odrazu do praktycznych zajęć uciążliwej gospodarki w gminie, mieście, powiecie i prowincyi, staje się niepodobieństwem, jak niepodobieństwem jest zmienić odrazu marzyciela w człowieka praktycznego.

Ciekawy jestem, co mi na to odpowiedzą, nie już politycy zmieniający kartę Europy co tydzień inaczej, bo z tymi nie ma dyskusyi, lecz wszyscy separatyści, federaliści, a dalej doktrynerzy, ekonomiści socyalni i cały obóz zwolenników n a t y c h m i a s t o w y c h zmian i przewrotów choćby najlegalniejszych.

Zmienić charakter człowieka w zwyczajnych stosunkach staje się rzeczą prawie niepodobną, o tem wiemy wszyscy, a jednak tak mało ludzi zgadza się na tę prawdę, że społeczeństwo niczem innem nie jest jak tylko wielkim (nie w znaczeniu rozumu) człowiekiem, i że postawić go r a p t e m w innych stosunkach, choćby stokroć lepszych od tych, do których przywykł, jest to wykoleić go — i raczej mu zaszkodzić, jak pomódz. Człowiek dopiero wtenczas ma rzetelną wartość, gdy własną usilnością zdobędzie sobie przyszłość i lepsze stanowisko. Toż samo można i musimy powiedzieć, patrząc na społeczeństwo przeobrażające się, jakiem jest społeczeństwo galicyjskie.

Człowiek niewykształcony i nieokrzesany, gdy niespodzianie zostanie bogatym, rzadko kiedy staje się więcej użytecznym członkiem społeczeństwa, jak wtedy, kiedy był biednym i pracowitym, gdy człowiek pracą i wytrwałością zdobywający sobie majątek — zawsze.

Słusznie ktoś powiedział, że koncesye rządu ani się dają, ani zdobywają szturmem, stają się one koniecznością, i same przychodzą z loiki faktów i praw ciężkości, rozumie się w naturalnym biegu spraw ludzkich. Niepodobna naprzykład z systemu eksterminacyjnego, jaki panuje w Poznańskiem i w Alzacyi, wyprowadzać jakichbądź wniosków loicznych. Społeczeństwo naturalnym swoim postępem, jeżeli się rozwija, zajmuje coraz wyższe i szersze pozycye samorządu — bez szkody państwa, a z pożytkiem kraju, lub prowincyi.

W społeczeństwie, w którem atrybucye samorządu nie są wypełniane, więc w przenośni życie w tym kierunku nie funkcyonuje odpowiednio — jest dowód, że społeczeństwo nie dorosło do koncesyi, które otrzymało, i wtedy koncesye muszą czekać na siły, pełnoletność, inaczej na odpowiednie zdolności społeczeństwa, które się zdobywają praktyką.

Może się w społeczeństwie znajdować dużo profesorów, uczonych, a co dziesiąty mąż z inteligencyi może być lub jest doktorem teologii, prawa, ekonomii, filozofii, nauk ścisłych, skarbowości i tym podobnych ciekawych przedmiotów, a reprezentacya prowincyi lub powiatu, złożona z tych wielkich powag, nie umie ułożyć logicznej i sprawiedliwej noweli, dla utrzymania dróg wybudowanych i budowania nowych. Na dowód odsyłam ciekawych do roczników naszych sejmów — i na dowód przytaczam jeden ustęp Macaulaya:

„Zwołanie Stanów Generalnych stało się hasłem do wybuchu wszystkich namiętności, które się przez cały wiek zbierały. W zgromadzeniu tem było niewątpliwie nie mało bardzo zdolnych ludzi; ale nie posiadali oni ż a d n e j p r a k t y c z n e j znajomości sztuki rządzenia....

„W roku 1789 żadnego innego hasła do zespolenia się p r ó c z t e o r y i — nie posiadali....

„Znaczna część ludności angielskiej oswoiła się z wykonywaniem posług publicznych i wprawiła się znakomicie do działań politycznych. We wszystkich prawie innych krajach nie ma, rzec można, pośredniej drogi, między ślepą uległością, a jawnym buntem. W Anglii zaś od wieków istniała opozycya konstytucyjna. Otóż instytucye nasze tak były dobrane, że rozwinęły w nas zdolności do jeszcze lepszych. (Wszystkie instytucye oparte na wolności są tyle dobre, że kształcą nas, a tem samem pozwalają poprawiać nasze prawa i uchwały. Dopisek autora.)

„Nie ma w królestwie naszem większego miasta, któreby nie mogło dostarczyć lepszych zasobów sejmowi prawodawczemu, niż cała Francya w 1789. Nie ma w Londynie tak lichego klubu nawet między zbierającymi się w garkuchniach, w którychby form prowadzenia obrad nie pojmowano lepiej i nie przestrzegano pilniej, niżeli w zgromadzeniu ustawodawczem. Nie ma też podobno u nas żadnego stowarzyszenia politycznego, któreby potrafiło w pół godziny lepiej sformułować praw człowieka, niźli wszyscy mędrcy Francyi, co się przecież nad tem kilka miesięcy mozolili...“

Umyślnie przytoczyłem parę ustępów wielkiego historyka, aby zasłonić moją ukochaną Galicyę od nieustannych napaści i procesów, wytaczanych jej w waszych pismach, oraz skarg na tę biedną prowincyą, jak również wypowiedzieć swoje przekonania i swój sposób widzenia rzeczy, podług którego postaram się mierzyć tutejsze sprawy.

Wolność powinna być środkiem, a nie celem. Zdaje się stara to zasada, dziś już nareszcie za prawdę uznana, a mimo to długo jeszcze ona w Europie w życiu politycznem będzie dzielić ludzi na obozy. Dla jednych wolność jest tylko celem, dla drugich już staje się środkiem. Jeżeli te pojęcia tworzą stronnictwa we wszystkich krajach Europy, dla czegożby i w Galicyi miało być inaczej.

Stronnictwo zostawione samemu sobie, a rozumiejące i biorące wolność za środek, zwykle rozpoczyna swoją karyerę polityczną, prawodawczą, oraz administracyi kraju i prowincyi od siebie samego, czyli od zabezpieczenia korzyści dla członków swego stronnictwa. Raz że ludzie są ludźmi, a drugi raz, że stronnictwo lub partya, gdy jest sama, uważa się w tej chwili za naród, korzyści, które sobie zabezpiecza, nazywa w dobrej wierze korzyściami kraju.

Tworzy się w tej chwili arystokracya stronnictwa, uważająca siebie za wybranych, tem więcej, że jest popierana przez ludzi, którzy w służbie u tej partyi widzą wywyższenie i korzyści własne, a jest dużo i takich, którzy widzą jedyne korzyści kraju. Że przy takich stosunkach dzieją się rozmaite nadużycia, że się budują koleje żelazne przez okolice, które dopiero za lat 50 będą w stanie utrzymać (swym ruchem i produkcyą) te linje, że się murują drogi w miejscach niezbyt potrzebnych — a zaniedbują w miejscach koniecznych, że się zakłada koncesyonowane banki, pożyczające minimum na 15 procent, jak Bank wło-

ściański. Że się ustanawia nowele ochraniające zbyt rażąco wybranych itp., temu się dziwić niepodobna, albowiem zawsze i wszędzie w podobnych warunkach to samo się dzieje i dziać będzie, bez względu jakich odcieni i wyznań partya bez kontroli drugiego stronnictwa przyjdzie do władzy, jeżeli się jej jeszcze uda sterroryzować kraj, przerazić, przestraszyć i zmusić do milczenia.

Nic łatwiejszego jak być demagogiem, lub reakcyonistą. Jedni chcą zburzyć choćby świątynię, drudzy zostawić w spokoju, choćby walącą się na ich głowy ruderę. Zwykle w społeczeństwie, gdzie panuje reakcya, tworzy się obok niej demagogia, (jak to mamy przykład za panowania Ludwików i wielkiej rewolucyi.) Cóż łatwiejszego jak burzyć, lub cóż łatwiejszego jak nic nie robić dla zakonserwowania tradycyi. Zabawne, jakby próżniactwem można było cośkolwiek ochronić, lub zabezpieczyć, a jednak przeważna większość naszych konserwatystów nie inaczej rozumie swoje stanowisko i obowiązki.

Zwykle w społeczeństwach uciśnionych wytwarzają się tylko te dwa rodzaje ludzi publicznych—zapaleńców, do gorączki i zimnych do obumarcia. odważnych do egzaltacyi i męczeństwa, i tchórzów do śmieszności.

„Czyżby inaczej być mogło? Przecież nie w powijaczach uczymy się chodzić, nie w ciemności przywykamy do odróżnienia barw, nie w ucisku wprawiamy się do używania wolności.“ (Macaulay.)

W kraju lub prowincyi organizującej się samorządnie z samych stosunków krajowych, wytwarza się naprzód stronnictwo zachowawcze, oparte na pozycyi socyalnej, na tradycyi imion, na przywilejach, które chociaż zniesione tkwią ze zwyczaju w przekonaniach ludności, na koncesyach familijnych i na dobrobycie opartym na posiadaniu ziemi. Stronnictwo to z rozpoczęciem prac organicznych natychmiast się organizuje i w każdym razie ma poparcie rządu, który jest przekonany o jego lojalności i skromnych wymaganiach, opartych na zachowaniu nie zbyt kwitnącego stanu rzeczy.

Dla wytworzenia się stronnictwa postępowego potrzeba naprzód, jeżeli nie dużych, to zamożnych miast, rozwiniętego przemysłu, handlu, jednem słowem, wysoko w kulturze i cywilizacyi posuniętego kraju, gdyż w takiej tylko pozycyi i stosunkach krajowych znajdą się ludzie niezależni, majętni, wykształceni i szanowani, którzy potrafią i będą mieli odwagę wypowiedzieć, bronić i p r a c o w a ć dla swych przekonań, mając za sobą poparcie i uznanie. A przedewszystkiem, że ludzie ci, nie będą mogli być zmaltretowani przez swych przeciwników: plotką i potwarzą, pierwszą bronią, jak włócznia u dzikich, używaną w walkach przy pracach organizacyjnych, w społeczeństwach tylko co rozwiniętych z powijaków. Spojrzyjmy na życie parlamentarne we Włoszech, a nawet w ostatnich latach we Francyi. Czyżby w Galicyi było lub mogło być inaczej?... Nie tylko że nie jest inaczej, lecz są pewne dane, że prowincya nasza przewyższyła wszystkie inne kraje Europy, i to do tego stopnia, że owa „włócznia dzikich“ stała się najprzyjemniejszą zabawką w życiu towarzyskiem całej prowincyi i wszystkich warstw społeczeństwa. Ludzie nowi, zajmujący obecnie w świeżo organizującym się kraju wybitniejsze stanowiska, jak burmistrze, radni, marszałkowie i vice - marszałki, radcy etc. etc., nie mówię już o posłach, są kreowani lub należą z małemi wyjątkami do rządzącego stronnictwa. Jakże więc to stronnictwo nie ma być wszechwładnem i nie wyradzać się mimowoli i chęci w reakcyą. Jakże więc to stronnictwo nie ma mieć odwagi do prowadzenia polityki zagranicznej na swą rękę—nie mając obok siebie lub nad sobą nikogo! Milczeniem jest upoważnione i usprawiedliwione.

Nie mam zamiaru roztrząsać, lub krytykować kierunków polityki zagranicznej tego stronnictwa. Naprzód dla tego, że stronnictwo to nie wystąpiło ani razu ze swą żółtą lub czerwoną, a raczej zieloną *) księgą dyplomatyczną, a może i dla tego, że polityka zagraniczna sama w sobie mało obchodzi naszę prowincyą, i nikt by się nią nie zajmował seryo, gdyby nie chciała spraw krajowych podporządkowywać — czynowi i opozycyi przeciw pruskim majowym ustawom. Wszystko dla Rzymu, i wszystko przeciw panu Bismarkowi, ale tylko jako twórcy praw majowych. Zasada ta postawiona przez partyą jedynie w kraju zorganizowaną, jedynie coś robiącą, a która może bardzo wiele robić, jeżeli nie wszystko, niekoniecznie w swoich następstwach przynosi dobre owoce dla prowincyi potrzebującej oprócz skupienia sił i wytrwałości, w wielu razach jeżeli nie poświęcenia, które w pracach zbiorowych i organicznych staje się niepodobnem, to zawsze pewnych ofiar.

(C. d. n.)

*) Zielony kolor jest godłem nadziei.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXV.

Istnieją dwa małe światki we Lwowie, które raz tylko do roku otwierają się dla wielkiego, powszechnego świata i dają sposobność zajrzenia w ich wnętrze. Co prawda nie wiele osób korzysta z tej sposobności, ale każdy, kto tam zajrzy, nie wyjdzie bez silnego wzruszenia.

Mówimy o popisach publicznych w zakładzie głuchoniemych i w zakładzie ślepych, które odbyły się przed tygodniem. W tym roku były one o tyle uroczystsze, niż zwykle, że uświetniła je obecność księdza Teofila Jagodzińskiego, wicedyrektora warszawskiego instytutu głuchoniemych, który umyślnie przybył z Warszawy, aby poznać rozwój lwowskich zakładów. Na popisie głuchoniemych ks. Jagodziński miał przemowę do dziatwy za pomocą mimiki, którą jednocześnie tłómaczył zgromadzonej publiczności słowami. W tej przemowie zachęcał dziatwę do pracy i cnoty, tłómaczył jej, że tylko miłość dla niej sprowadziła go z dalekiej Warszawy, wreszcie wskazał na portret ks. Falkowskiego, (przywieziony przez siebie w darze zakładowi lwowskiemu) tego największego w Polsce dobroczyńcy głuchoniemych, który był założycielem warszawskiego instytutu i całe życie swoje dla dobra tego zakładu poświęcił.

Jak w świecie głuchoniemych wszelka wiedza płynie korytem wzroku, tak w świecie ciemnych wszystkie inne drogi otwarte z wyjątkiem drogi zwroku. Oprócz dotyku rozwija się tu przedewszystkiem zmysł słuchu, więc i muzyka w zakładzie ciemnych stanowiła najprzedniejszą część popisu. Podziwialiśmy naprzód wielką wprawę mechaniczną uczniów i uczennic, ale jeszcze więcej nadzwyczajną delikatność dotknięcia, świadczącą o nader czułym słuchu. Odegrane na skrzypcach i na fortepianie kawałki muzyczne nosiły prawie wyłącznie charakter poważny, religijny, zastosowany niejako do posępnego życia istot, które wieczna noc otacza. Znalazła się tam jakby przypadkiem i nuta weselsza, jakaś waryacya na temat kilku aryi z Rigoletto i ta to właśnie barwna nuta w tym świecie bez blasku i kolorów sprawiała może najtragiczniejsze wrażenie.

* * *

Jak dawniej jarmarki, tak w dzisiejszych czasach wycieczki mają własność sprowadzania deszczu. Bardzo być może, że w niższych kręgach powietrznych panuje jakieś psotne bóstwo, które znajduje szczególne upodobanie w płataniu figlów szanownej publiczności miejskiej, pragnącej zaczerpnąć wiejskiego powietrza. Byle jednak się nie nastraszyć, a wszystko pójdzie dobrze, jak to się stało w przeszłą niedzielę z wycieczką do Stryja. Deszcz, który miał widocznie zamiar odstraszyć Lwowian od wycieczki, posłużył tylko do odświeżenia powietrza i skropienia kurzu. Wycieczka udała się wybornie, a Olszynka Stryjska zaimponowała Lwowianom tak swymi naturalnymi przymiotami, jak i sztucznem przystrojeniem. A kąpiel w Stryju? Tylko dytyrambem możnaby ją godnie pochwalić.

* * *

Plac wystawy krajowej przybiera coraz bardziej ożywioną i uroczystą postać. Stanęło już wiele budynków, z których pawilon główny już ukończony. Pawilon ten i główne wyjście robią pod względem architektonicznym bardzo miłe i poważne wrażenie. Pomimo niepewnego czasu, pomimo większych zawikłań politycznych przepowiadanych przez naszych domorosłych polityków, wystawa będzie nadspodziewanie świetną, a można już o tem wyrokować, gdyż wiadomo już jakie przedmioty będą nadesłane. Zgłosiło się około 1000 wystawców, co dla naszego miasta, stolicy jednej tylko prowincyi polskiej, stanowi bardzo inponującą liczbę. Z całej Francyi na ostatniej wystawie powszechnej w r. 1867 było wszystkiego 16.000 zgłoszeń, a więc tylko kilkanaście razy więcej niż u nas.

Wydawnictwo *Tygodnia*, które podjęło się wydawania przez czas trwania wystawy pisma codziennego poświęconego specyalnie wystawie, porobiło już w tym kierunku wielkie przygotowania i tuszy sobie, że publiczność nasza, a głównie ziemianie i wystawcy zechcą poprzeć to pożyteczne dla kraju wydawnictwo. Komitet wykonawczy wystawy krajowej uznał to pismo za wyłączny swój organ, i będzie w nim pomieszczać wszystkie swe odezwy i ogłoszenia urzędowe. W skład redakcyjnego komitetu weszli najbardziej znani a przy wystawie najczynniejsi specyaliści, których imiona już jasno określają jakiem będzie czasopismo wystawowe.

* * *

W „Ogrodzie ludowym“ p. Stengla rozpoczął swą działalność pierwszy lwowski teatrzyk ogródkowy. Życzymy temu przedsięwzięciu, słabemu i wątłemu co do sił swoich, lecz sympatycznie przez publiczność przyjętemu, jak najlepszego powodzenia. Teatrzyki ogródkowe jeśli są tylko uczciwie prowadzone, bez silenia się na płaskie i niemoralne farsy niemieckie i francuskie, spełniają bardzo pożyteczne zadanie i są krzewicielami czystych form mowy ojczystej i ogłady towarzyskiej. Im to najłatwiej działać w tym kierunku na massy, bo naukę podają w zabawie jednej z najbardziej pociągających.

Trzeba tylko. powtarzamy, aby język był czysty, a treść uczciwą.

LISTY Z KRAJU.

Szanowny Redaktorze!

Zanim kto z publicystów i więcej kompetentnych odpowie na wasze sumienne i patryotyczne wezwanie, pospieszam przesłać moje uwagi, gdyż sprawa tak doniosła jak ta, którą podjęliście we wstępnym artykule „Co robić,“ powinna zająć każdy umysł poważny, każde uczciwe i prawdziwie polskie serce.

Przyjmując więc wasze wezwanie, przynoszę kilka uwag opartych nie tylko na teoretycznych ale i praktycznych studyach.

Państwa niepodległe, naturalny rozwój których, w normalny i cywilizacyjny sposób się odbywa, potrzebują wielkiej czujności, wielkiego taktu politycznego, a co główna, coraz to liczniejszego udziału wszystkich warstw społeczeństwa.

Zdemokratyzowanie społeczeństw leży w porządku rzeczy, bo nie tylko przypuszcza, ale i zmusza wszystkie społeczne czynniki do działalności i oddziaływania wzajemnego.

Polska przedrozbiorowa, tak w państwowym jak i społecznym rozwoju, niejednokrotnie przodowała w harmonijnym pochodzie ludzkości, a nigdy nie zacofywała się ostatecznie. Prądy postępowe nawet w chwilach największego upadku były widoczne.

Uchwały czteroletniego sejmu, konstytucya 3go maja, porównane z politycznemi i społecznemi prawami innych państw ościennych tegoż okresu, dowodnie wykazują żywotność narodowo-państwowych sił i uznawania potrzeby odrodzenia i skuteczniejszego spotęgowania siły społecznej.

Zgłębiając dzieje nasze, przychodzimy do przekonania, że każda epoka liczyła mężów stanu, którzy pojmując warunki, lub idąc za głosem opinii, w ten lub ów sposób objawiającej się, rozszerzali szranki dla przypuszczenia coraz to liczniejszych pracowników w szeregach narodowych.

Prawodawcy czteroletniego sejmu niezadowolili się już systemem pomnożenia zastępu szlachty; samo uszlachcanie nie było już wystarczającem; trzeba było powołać wszystkie klasy społeczeństwa do wspólnego podziału praw i obowiązków.

Prawodawcy z końca XVIII stulecia zrobili wiele, nie powołali wszakże na arenę prac politycznych całego ludu. Szlachta ówczesna, robiąc nie jednę ofiarę, nie zdecydowała się na ten czyn wielki a konieczny, nie chciała zrzec się swych przywilejów, aby przyjmując w grono obywateli kraju cały lud, tem samem powiększyć o miliony zastęp samowiednych obrońców ojczyzny. Błąd ten srogo odpokutowała, a z nią i kraj cały.

Błędy przedrozbiorowych przedstawicieli idei państwowej, błędy szlachty naszej, czy starano się chociaż częściowo naprawić? tak, częściowo tylko i nie zawsze z jednakiem zaparciem się interesów osobistych — kastowych.

Kołłątaj, Kościuszko i wielu innych dzielnych a światłych mężów nawoływało na gwałt, chcąc powołać lud cały do obrony krajowej, chcąc, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej większą część ludności uobywatelić, a tem samem spotęgować siły narodowe.

Szlachta niechętnie przyjmowała myśl reformatorów — wahała się, i tem wahaniem sprowadziła nieszczęsne skutki walk, jakkolwiek bohaterskich, ale nierównych — została zgnębioną.

Lelewel, Mochnacki i inni zacni mężowie, gorliwie i często skutecznie rozszerzali owę myśl zbawienną, ale złowrogie oddziaływanie stronnictwa przeciwnego, zniweczyło ich wzniosłe usiłowania.

Powstanie roku 1863, w warunkach politycznych i militarnych najmniej korzystnych, miało tę wielką doniosłość i stronę dodatnią, że było podjęte z myślą równouprawnienia wszystkich klas społeczeństwa. Myśl szczęśliwa nie była przez wszystkich i z równą gorliwością przeprowadzona; a jednak pomimo oporu silnej mniejszości szlachty, pomimo braku pieniędzy, broni i amunicyi, pomimo wszystkiego co było niezbędnem, popierane tylko sympatyą ludu, potrafiło stawić czoło przez bardzo długi czas, tak potężnemu i nieprzebierającemu w środkach wrogowi — jak Moskwa.

I tu miejsce zapytać, zkąd ta sympatya ludu dla sprawy*) o niepodległość, dla czego stosunkowo liczny brał udział w ostatniem powstaniu?

Podejmę wybitniejsze tylko chwile, główne przyczyny.

Pracowano nad ludem, starano się wyjaśniać kwestye zawiłe, złagodzić nienawiść i zniechęcenie do szlachty, obudzić ducha obywatelskiego — oświecając — uobywatelając.

Lud nasz nie umiał czytać, a jednak wiedział dobrze, jakie mu przy zmianie stosunków prawa przysługiwałyby, jakie obowiązki miałby dopełniać. Z praw chciał korzystać, od obowiązków nie usuwał się, a chętnie rozpytywał o wszystko, co mogło rozprószyć mgłę niewiadomości, a z nią zabobonu, przesądu i nałogów.

Takich uczniów, jakim jest lud nasz, przyjemnie nauczać, trzeba tylko wiedzieć jak go nauczać; systemata pedagogiczne najlepiej obmyślane, tu nie wystarczą. Słowa miłości, braterstwa, prawdy i obowiązku w szczery sposób wypowiedziane, zawsze znalazły i znajdą żyzną glebę w sercach naszego ludu. Nie gniewał się on, jeżeli wskazywaliśmy jego wady i nałogi, ale przyznając się do winy wskazywał jej przyczynę, a był w podwójnym ucisku moskiewskim i poddańczym, nienawidząc Moskali, nie dowierzał panom.

Kiedy Moskwa bierze od niego podwójny podatek krwi i pracy, zapoznając wszystkie prawa człowieka, w szlachcie nie zawsze on ma przychylnego i bezinteresownego sąsiada. Stosunek pańszczyźniany chociaż już ustał, ale nie ma jeszcze koniecznej, dobrze zrozumiałej harmonii między dworem a gminą.

Chcąc uniknąć zarzutu teoretycznego rozumowania, nie wytrzymującego krytyki praktycznego zastosowania, chcę dać treściwy pogląd na niektóre prace dokonane z dodatnim rezultatem.

Kiedy Moskwa osłabiona niepowodzeniami krymskiej wojny, zmuszoną była złagodzić system teroryzmu w swoim zaborze, młodzież z zapałem rzuciła się do nauk, szukała wiedzy chociażby w moskiewskich uniwersytetach.

Przez lat kilka zastęp uczących się progresyjnie zwiększał się, a obok zapału do nauki równocześnie nabierała młodzież szczerej chęci do pracy dla przyszłego wyjarzmienia się, szukała dróg, któremi najskuteczniej mogła dójść do celu.

Dla podjęcia walki z tak potężnym wrogiem jak Moskwa, trzeba było użyć wszystkich sił narodowo-społecznych i umiejętnie je zużytkować.

Nad ludem nikt nie pracował, jak by o nim zapomniano, a jednak tylko jeden lud wiejski, który jeżeli nic nie nabył, nic też nie stracił z pierwotnej swej wartości.

Dwudziesto milionową ludność, bezwiedną wyższych celów trzeba było zawezwać do myślenia, trzeba było z nią poznać się, zbratać się, zjednać jej ufność, a potem systematycznie i stopniowo wyjaśniać jej anormalny stosunek w jakim pozostaje, i jednocześnie wskazywać korzystne warunki w jakich może być postawioną.

Młodzież ówczesna nie zawahała się, uznawała ona trudność wielkiego zadania, to też głęboko zastanawiała się nad sposobami które mogły być skutecznie użytymi. Po orzważnych studyach przyszła do przekonania, że aby podnieść pokrzywdzonego przez ucisk brata do wysokości pojęć szlachetnych, trzeba było zstąpić do niego i podać mu szczerą bratnią dłoń; — podaną, lud przyjął bez wahania się, bo odczuł całą bezinteresowność, całą szlachetność zamiarów. Otworzył swe serce, wylał cały potok skarg często słusznych, wypowiedział potrzebę naprawy, puszczenia w niepamięć swych krzywd, zgodził się na pojednanie się.

Praca nie była łatwa, tysiące młodzieży wracającej na wakacye, w miejsce zwykłych rozrywek odbywały nowe trudniejsze studya, ale też i przyjemniejsze; młodzież badała wdzięczny teren, na którym ma oddziaływać. Zazierała do chat wieśniaczych, a gościnnie przyjęta, rozpoczynała naukę chociaż doryweczą, ale skuteczną.

Niedowierzający wieśniak nie odrazu odkrywał swe serce; nim dał siebie poznać i wypowiedział co go boli, zbadał dokładnie swego nauczyciela.

Biada temu co dla rozrywki, albo hołdując prądowi czasu, z pustem sercem przystąpił i zdradziecko chciał zdobyć skarbnicę jego serca. Pogardliwe i uparte milczenie było nagrodą grzesznej próby; ale raz zaufawszy z całą otwartością wypowiadał swe żale i pragnienia, gorączkowo wywiadując się o wszystkiem, co miało jakikolwiek związek z polepszeniem, nietylko jego losu ale i losów ojczyzny, bo nasz wieśniak, niech co chcą mówią, nie wierzy w swe szczęście pod jarzmem Moskwy.

Po ukończonych studyach młodzież starała się zająć odpowiednie stanowisko w okolicach dobrze sobie znanych, zrzekając się nieraz bardzo korzystnych dla źle płatnych posad. Moglibyśmy przytoczyć nie jednę powagę naukową, co odrzucając ofiarowane katedry uniwersytetów poprzestawała na gimnazyach albo szkołach powiatowych. Nie jednego prawnika co nie brał dobrze płatnych posad przy ministeryach lub senacie, aby módz zająć posadę pisarza gminy, wielu lekarzy co porzucało korzystną praktykę stolic dla miasteczek powiatowych a nawet parafialnych, a ileż to szkółek ludowych pozostawało pod kierownictwem ludzi prawdziwie zdolnych i z uniwersyteckiem wykształceniem.

Inaczej też nie może być, chcąc pracować korzystnie na tej żyźnej glebie, trzeba oddać się tej pracy z całym zapałem, z zapomnieniem interesu osobistego, z poprzestaniem na małem.

Dla czego tego rodzaju pracę zaniechano? Wszak ona przeprowadza się w najwięcej legalny sposób i z największą korzyścią nawet dla dobrze zorganizowanych państw i społeczeństw, zapobiegając zgubnym i zbrodniczym agitacyom i wpływom najemniczej zgrai, co bałamucąc lud, sieje niezgodę domową, przygotowuje serce do zdradzieckich zamiarów. Sumienna praca uwolniłaby nas raz na zawsze od chmury moskalofilskich apostołów.

Tam gdzie nauka dozwolona, gdzie tysiące szkółek ludowych zakłada się, niech one będą ogniskiem prawdziwej uobywatelającej oświaty. Trzeba tylko wielkiego zastępu gorliwych i sumiennych nauczycieli, a o tych nie trudno byćby powinno tam, gdzie tysiące młodzieży kończy wyższe lub średnie zakłady naukowe.

Znać przygasa znicz miłości bratniej, kiedy łaknącemu wiedzy i prawdy nie chcą jej podać na tyle przynajmniej, aby stopniowo ale bez przerwy wydobywać go z głębi przesądów i nałogów.

Czyżby miało być prawdą jak niektórzy publicyści głoszą, że młodzież nasza opancerzyła swe serca, broniąc przystępu dla wszystkiego co wzniosłe i szlachetne? Byłoby to złem wielkiem, wymagającem rychłej naprawy, bo któż ma czuć i odczuwać jeżeli młodość zamiera?

Mnie się zdaje, że tak nie jest, przynajmniej co do istoty rzeczy, chociaż pozory mogą być wielkie.

Skutków takiego zmateryalizowanego zwrotu, trzebaby szukać chyba w systemie wykształcenia; ale młodzież raz wystąpiwszy z kadr szkolnego systemu, może i powinna samodzielnie pracować i uzupełniać braki. Powinna zadawać sobie pytania, czy nie ma innych wyższych, świętszych celów jak praca na smaczny kawałek chleba albo świetną karyerę. Głębsze zastanowienie się, rozmowa z własnem sumieniem, wpłyną niezawodnie na zmianę dotychczasowych zapatrywań.

Z naszej strony dajemy koleżeńską, sumienną radę, niech postara się zgłębić dzieje nasze w świetnych i porozbiorowych czasach, niech stara się poznać szlaki, po których nasi przodkowie chodzili, aby dojść do szczytu prawdy, sprawiedliwości, a pewno rzuci się na wdzięczne pole pracy, — „pracy nad prawdziwą oświatą, nad uobywatelemiem ludu“.

Lwów dnia 15 Lipca 1877

L. Toloczko.

*) Autor rodem z Litwy przedstawia tameczne stosunki. (Przyp. Red.)

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Biblioteka historyczna* zeszyt 115: Dzieje Powszechne F. K, Schlossera. 8ka str. 96 Lwów. Nakład Księgarni Polskiej.

— *Biblioteka kaznodziejsko-polska* wydawana z dzieł oryginalnych dawnych naszych kaznodziejów przez ks. Izaaka Jsakowicza i ks. Tomasza Dąbrowskiego w Stanisławowie. T. II 8ka str. 407 Lwów 1877. 3 złr.

— *Biblioteka ordynacyi Krasickich,* Muzeum Konstantego Świdzińskiego, Tm III in 4° str. 212. Warszawa 1877 3 złr.

— *Blackburn.* Jak należy ochraniać niemowlę czyli przestrogi dane matkom. Przełożył z angielskiego ks. S. T. Mankielun. 8ka str. 29. Warszawa 1877. 25 ct.

— *Brzozowski Karol* Noc strzelców w Anatolii (Bibljoteki Mrówki T. 46.) 16ka str. 136 Lwów. Księgarnia Polska. 1877 30 ct.

— *Broecker Stanisław.* Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814). Przekład z niemieckiego Pauliny Cybulskiej 8ka str. 339. Warszawa 1877 3 złr.

— *Gralewski Mateusz,* Kaukaz, wspomnienia z 12letniej niewoli, opisanie kraju, ludów, zwyczaje i obyczaje. 8ka str. 560. Lwów Księgarnia Polska 1877 5 złr.

— *Jaworski H.* Wspomnienie Kaukazu. 8ka str. 317. Poznań 1877 3. 90 ct.

— *Kok Paweł.* Powieści. Zeszyt 40 25 ct.

— *Kopeć Bonawentura.* U swoich na obczyźnie, powieść, 16. str. 332. Lwów, 1877 1. 80 ct.

— *Krasicki Ignacy*. Satyry. Wydanie kompletne (Bibljoteki Mrówki: T. 48.) 16. str. 104. Lwów Księgarnia Polska 1877 30 ct.

— *Kraszewski J. I.* Kosa i kamień. Przysłowie dramatyczne, wydanie drugie 8ka, str. 48. Poznań J. K. Żupański 1877 65 ct.

— *Nussbaum Henryk*. O metodzie rozpoznawania chorób, 8ka str. 72. Warszawa 1877 1 złr.

— *Podróż nad Renem* i w Szwajcaryi. (W r. 1846 odbyta) 8ka str. 408. Poznań J. K. Żupański 1877 3. 90 ct.

— *Słosarski Józef Kal*. Kazania na wszystkie uroczystości w roku, z dodaniem adwentowych i kilku przygodnych. 8ka str. 199 Warszawa 1877 1. 25 ct.

— *Szajnocha Karol*. Dzieła, Tom VI. Jadwiga i Jagiełło (ciąg dalszy) 8ka str. 356. Warszawa, Unger. 1877 3 złr.

— *Tegner Izajasz*. Axel. Powieść historyczna z czasów Karola XII. Przełożył W. H. Engeström. 8ka str. 76. Poznań J. K. Żupański 1877 98 ct.

— *Zielewicz Dr*. Niektóre rady dotyczące pielęgnowania dzieci. Dla matek średniego stanu. 8ka str. 66. Poznań J. K. Żupański 1877 35 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— W Poznaniu wyszły nakładem niestrudzonego wydawcy dzieł poważnej treści p. J. K. Żupańskiego „*Moje wspomnienia*“ przez Aleksandra Jełowickiego znanego następnie na emigracyi księdza z zakonu Zmartwychwstańców. Wspomnienia te jednak były pisane wprzódy nim ich autor obrał sobie zawód duchowny; są one wybornem zwierciadłem stosunków wołyńskich w czasie powstania 1830 roku, napisane w sposób bardzo zajmujący, zasługują na bliższe poznanie.

— Dr Julian Ochorowicz przygotowuje do druku nową swą pracę pt. *Filozofią popularną w XVIII wieku*. Będzie to nadwyczaj zajmująca rozprawa, która obejmie: Filozofię kościelną, filozofię wolnych mularzy, filozofią alchemików, filozofią magnetyzerów, filozofią spirytystów.

— *Historya Austryi*, podręcznik dla szkół średnich opuści wkrótce prasę.

— Dr Władysław Kosiński nauczyciel gimn. w Wadowicach, wydał „*Słowniczek prowincyonalizmów w okolicach Krakowa, Bochni i Wadowic.*“

— *Pani Dowiakowska* primadonna opery warszawskiej przybędzie do Lwowa i podczas Wystawy rolniczo-przemysłowej wystąpi w teatrze Skarbkowskim.

— Pan Miłosz Stengel otworzył *teatr letni* we Lwowie przy ulicy Jagiellońskiej, w którym truppa prowincyonalna daje od kilku już dni przedstawienia.

— *Ekonomisty*, czasopisma tygodniowego wychodzącego we Lwowie wyszedł już z druku N. 7 i zawiera: Projekt nowej ustawy drogowej dla Galicyi przez Teofila Merunowicza. Handel zewnętrzny Rumunii. Stan zasiewów we wschodniej Galicyi. Dział handlowy. Korespondencya. Sprawy kolejowe. Dział finansowy. Kalendarz finansowy. Rozmaitości.

— *Ruchu społeczno-ekonomicznego*, dwutygodnika wychodzącego w Poznaniu wyszedł Nr. 19 i zawiera: Spółki, regulamin dla rad nadzorczych, spółek pożyczkowych przy wykonywaniu kontroli. Towarzystwo pożyczkowe dla Chełmna i okolicy. Bank ludowy w Dolsku. Tow. pożyczkowe dla miasta Klecka i okolicy. Bank ludowy Siszewic. Bank ludowy w Rogoźnie. Ul, wzajemna pomoc. Towarzystwo robotników polskich w Bydgoszczy. Krakowskie towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń. Rozmaitości. Literatura. Emancypacya i równouprawnienie kobiety (recenzya).

— *Włościanin* i *Zagroda* czasopisma ludowe, które od 1 kwietnia wychodzą pod nową redakcyą, bardzo troskliwie i ze znajomością stosunków i potrzeb ludu są redagowane. Zwracamy na nie uwagę przyjaciół sprawy ludowej. Przedpłata na oba pisma wynosi rocznie 4·60 ct.

— *Polska na Syberyi*. Powróceni do kraju wygnańcy, zamieszkali we Lwowie, postanowili wydać pismo zbiorowe p. t. „Polska na Syberyi“. Pismo to obejmować będzie historyą wygnania polskiego, literaturę sybiryjską, pamiętniki, opisy geograficzne, etnograficzne i historyczne krajów wygnania, jako też wiadomości z dziedziny przyrody, jednem słowem wszystko, co z jednej strony scharakteryzować może życie i działalność Polaków wygnanych, z drugiej strony wszystko, co może dać pojęcie pod względem natury i cywilizacyi o obszernych przestrzeniach, na które zsyłano Polaków. Oprócz tego zamieszczane będą utwory beletrystyczne, mające związek z wygnaniem.

„Polska na Syberyi“ składać się będzie z kilku tomów; obecnie jednak ogłaszamy prenumeratę tylko na tom pierwszy, wyjście bowiem dalszych tomów zależnem będzie od przyjęcia, jakiego dozna od publiczności tom 1szy.

Redakcyą pisma zbiorowego „Polska na Syberyi“ objęli panowie: Agaton Giller, Mikołaj Epstein, Feliks Lewicki, Zygmunt Odrzywolski i Karol Pawłowski.

Z prac jakie wejdą do 1. tomu, wymieniamy niektóre przygotowane już do druku, jako to: Szkic historyczny wygnania polskiego p. A. Gillera. O objawach życia umysłowego i duchowego Polaków na Sybirze w związku z posłannictwem dziejowem Polski, p. Ludwika Nabielaka; etnografia Sybiru: o ludach dawniejszych i dzisiejszych w Zauralskiej krainie p. Feliksa Lewickiego; Opis kopalń złota p. J. Wursta. „W drodze na Sybir,“ nowella dr. Bonawentury Kopcia.“

Tom 1szy pisma zbiorowego „Polska na Syberyi“ ozdobiony drzeworytami, obejmujący od 30 do 40 arkuszy druku, kosztować będzie w prenumeracie 4 złr. w. a. Prenumeratę przesyłać można pod adresem sekretarza redakcyi p. Feliksa Lewickiego, ulica Łyczakowska nr. 21 we Lwowie; i na ręce kasyera p. Jana Mittiga, ulica Grodzickich nr. 4.

Można także składać prenumeratę w księgarniach: we Lwowie pp. Gubrynowicza i Schmidta, plac św. Ducha. Księgarnia Polska, ulica Kopernika, Milikowski, Rynek, Richtera, plac Maryacki, Seyfarta i Czajkowskiego, Rynek.

W Krakowie: A. Dygasińskiego, Rynek.

W Przemyślu: Braci Jeleniów.

W Tarnopolu: Csillika.

W Czerniowcach: U p. Jędrzeja Juszyńskiego w księgarni p. Pardiniego.

W Redakcyach pism: Gazety Narodowej, Ruchu literackiego, Dziennika Polskiego.

Za granicą: W Paryżu u p. Alfreda Ciszkiewicza nr. 136 Boulevard du Mont-Parnasse, w Zurychu u p. T. Witkowskiego Eug. Villen Quartier nr. 3.

Lista prenumeratorów zamieszczoną zostanie na końcu 1. tomu. Po zamknięciu prenumeraty druk 1go tomu niebawem się rozpocznie, a po ukończeniu zaś takowego rozesłany zostanie prenumeratorom kosztem wydawnictwa.

Administracya: Jan Mittig, Władysław Sienkiewicz, Juliusz Wurst.

— Znany z prawości charakteru i wytrwałej pracy pan *Ludwik Jenike* dnia 1-go lipca bieżącego roku skończył 25 lat zawodu redaktorskiego. Rozpoczął go w roku 1852 jako kierownik „Księgi świata“, a od roku 1859 jest stale naczelnym redaktorem „Tygodnika Illustrowanego“. Pracował w „Bibliotece Warszawskiej“, należał do redakcyi „Encyklopedyi powszechnej“ S. Orgelbranda i „Encyklopedyi Ogólnej“ Ungra. Wzbogacił literaturę ojczystą pięknemi przekładami: „Zrini“, „Torquata Tassa“, „Ifigenii“, „Hermana i Doroty“ i „Reineke Lis“, drukującego się obecnie w „Tygodniku Illustrowanym“. Tłómaczenie to zasługuje na uwagę, jest bowiem zarówno wiernem jak estetycznie i właściwie przykrojonem do pojęć i potrzeb miejscowych. Ludwik Jenike napisał rozprawę oryginalną „O znaczeniu rytmu w poezyi, a mianowicie o rytmiczności języka polskiego“.

— Na miesiąc wrzesień roku bieżącego *Wiktor Hugo* przysposabia wydanie nowego dzieła. Będzie to historya zamachu stanu Napoleona III-go

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych wespół z zaproszonymi znawcami sztuki, na posiedzeniu swem d. 26 czerwca r. b. odbytem, ocenił prace, złożone na konkurs, przez komitet ogłoszony, na temat: „Projekt urny do zbierania wotów na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych.“ Za najlepszy większością głosów uznany został projekt wykonany przez p. Zarembę Karola, architekte z Krakowa, któremu też przyznano nagrodę konkursową w ilości rs. 70.

— Niedawno krakowska akademia umiejętności wydała odezwę do ludzi dobrej woli, żeby zbierali materyały do etnografii ludu w okolicach, które zamieszkują.

Przy odezwie była dołączoną instrukcya, co i jak zbierać trzeba.

Pan Aleksander Petrów, kandydat nauk filologiczno-historycznych uniwersytetu warszawskiego, znany już z prac na niwie etnologii narodów słowiańskich i tłómacz kilku dzieł beletrystycznych z serbskiego wziął żywo do serca odezwę akademii.

Mieszkając pod Dobrzyniem (zkąd, mówiąc nawiasem, pisywał ciekawe listy do *Korrespondenta Płockiego*), zajął się tą okolicą i w ciągu ubiegłego roku napisał rzecz obszerną p. t. „Lud ziemi dobrzyńskiej, jego zwyczaje, obyczaje, język, pieśni, bajki, zagadki, przysłowia, przemówki, zwyczaje prawne i t. d.“

Rzecz tę p. Petrów przesłał już do Krakowa i zobaczymy ją zapewnie w krótce w „Pamiętnikach akademii.„

Szkoły.

— Ze sprawozdania Dyrekcyi realnego i wyższego gimnazyum w Wadowicach na rok 1877 wyjmujemy następujące szczegóły: Profesorów i nauczycieli było 19. Uczęszczało do szkół uczniów 268 — najmłodszych w wieku lat 11 było 2, lat 23 tylko 1. W klasie 1 wieku lat 17 i 18 było siedmiu. Ukończyło gimnazyum 16 z nich 13 złożyło egzamin dojrzałości. 4 udało się na wydział prawa, 3 na filozofię, po 2 na teologię, medycynę, do akademii technicznej i akademii górniczej, 1 do akademii leśniczej, W I klasie było 42 uczniów w VIII zaś 16. Dyrektorem gimnazyum jest p. Antoni Krygowski.

Konkursy.

— W dniu 1 b. m. odbyło się w Krakowie posiedzenie komisyi konkursu dramatycznego krakowskiego, w celu rozporządzenia pozostałą sumą z ostatniego konkursu i oznaczenia warunków na rok 1877/8. W skład komisyi wchodzą pp.: Estreicher, Kłobukowski, dyrektor teatru Koźmian, Szukiewicz, Maryan Sokołowski, Lucyan Siemieński, prof. Zathey, oraz ofiarodawcy. Z ostatniego konkursu pozostało 200 zlr., ofiarowanych przez ks. Marcelego Czartoryskiego, oraz 100 złr. ofiarowanych przez dyrekcyę teatru. Do tego należy doliczyć 200 złr., corocznie przeznaczanych przez hr. Artura Potockiego. Razem zatem 500 złr. Z uwagi, że w ostatnim konkursie przeznaczonych było na sztukę ludową ewentualnie 400 złr. oraz, że w ubiegłym roku było kilka konkursów dramatycznych, a na bieżące także kilku spodziewać się należy, komisya oznaczyła następujące warunki konkursu dramatycznego krakowskiego na r. 1877/8: 1) Ubiegać się mogą o nagrodę i odznaczenie tylko sztuki ludowe. 2) Najlepsza z nadesłanych sztuk ludowych, zapełniająca cały wieczór i mająca najmniej trzy akty, otrzyma nagrodę 500 złr. 3) Z pomiędzy nadesłanych sztuk ludowych, komisya zaleci do grania bez względu na ilość aktów te, które uzna za godne wystawienia na scenie. Sztuka ludowa zalecona do grania, otrzyma 10%, tantiemy od czystego dochodu z każdego przedstawienia, jeśli na to się autor zgodzi. 4) Komisya wyznaczyła dzień 1. marca 1878 r. jako ostatni termin do nadsyłania sztuk, w którym to dniu rozpocznie swoje prace, a zakończy i ogłosi wyrok 15. marca tegoż roku. 5) Sztuki winny być nadsyłane pod adresem: „Stanisław Koźmian, dyrektor teatru krakowskiego, w Krakowie.“ Należy dołączyć imię i nazwisko autora w zapieczętowanej kopercie, 6) Jedynie sztuki ludowe niegrane i niedrukowane dotąd, oraz takie, które nie ubiegały się o nagrody na innych konkursach, przypuszczone zostaną do konkursu. 7) Manuskrypta nieczytelne zostaną odrzucone.

Nekrologia.

— Dnia 15. czerwca b. r. zmarł w Podkamieniu ksiądz Donat Piątkowski, którego żywot zacny, pełen poświęcenia dla bliźnich a zwłaszcza dla ludu, wszechstronne wykształcenie i gorliwa służba w obranym zawodzie uczyniły powszechnie znanym, szanowanym i czczonym. Urodzony 12 grudnia 1812 r. w Zbarażu, kształcił się na uniwersytetach lwowskim i wiedeńskim, ukończył wydziały nauk filozoficznych, lekarskich i teologicznych. Odbył kampanią 1830 r. w pułku ułanów jako żołnierz, należał do zakonu Braci miłosierdzia i przez ostatnie 30 lat do zakonu Dominikanów. Na każdem stanowisku spełniał sumiennie obowiązki pamiętając o kraju i bliźnich. Z prac które pozostawił, powszechnie jest znaną i poszukiwaną broszura „Na wściekliznę“.

ROZMAITOŚCI.

ZE WSPOMNIEŃ P. A. PÓŁKOZICA.

= Geniusze ziemi, jak ciała niebieskie, mają w sobie siłę attrakcyi. Przyciągają ku sobie promieniami ducha, które tak samo jak promienie słońca, nie tylko oświecają i grzeją. lecz do twórczego rozrostu pobudzają wszystko, na co padnie ich blask dobroczynny. Prawda, że niekiedy te duchy słoneczne zamieniają się w wulkany ogniem zniszczenia ziejące, lub ukrytą w swej głębi siłą wstrząsające ziemi skorupą — lecz i wtedy nawet nęcą ku sobie — majestatem grozy...

Słowacki posiadał taką siłę attrakcyjną dla każdego, komu się zbliżyć pozwolił. Prawda, że umysł jego, przebywający zawsze w wysokich sferach ducha, nużył, z początku zwłaszcza, tych, którzy nie oderwani jeszcze tak jak on od ziemi, powiązani jeszcze nitkami uczuć lub namiętności ze zmysłowym światem, nie zawsze mogli utrzymać się w czystym i pełnym spokoju, tonie, w którym cała istność wielkiego poety płynęła już ciągle, jak jego pieśń potężna — w ostatnich życia latach.

Bywały jednak chwile w których ten monarcha poezyi, arcy-mistrz słowa. zrzucał z siebie purpurę i składał insygnia królewskiego ducha. A czynił takie ustępstwo dobrowolnie i chętnie, wtedy tylko, gdy przed nim stanął jeden z tych prostaczków cichych, którzy pracą i poświęceniem służyli idei zacnej, przez ślepą miłość dla niej — nie rozumując wcale. Do liczby takich należał pewien dawny żołnierz, szeregowiec prosty, oderwany od pługa, który zaniesion wichrem wypadków aż nad Sekwanę, osiadł w Paryżu i żył tam samotnie z pracy rąk swoich, krzepkich jeszcze i zawsze czystych...

Ilekroć ten prosty człowiek przybył do Słowackiego w odwiedziny, a bywało to przy niedzieli zwykle, poeta przyjmował go najserdeczniej — sadzał przy swoim, zawsze płonącym kominku, częstował przekąską i fajeczką i słuchał jego prostych opowiadań lub zwierzeń serdecznych, z doli i z niedoli — ze współczuciem braterskiem.

Gdym raz spotkał tego żołnierza, wychodzącego już z mieszkania poety — zapytałem kto to był taki? Słowacki rzekł: „Jest to człowiek, od którego zawsze uczę się czegoś.“

Od chwili przybycia do Paryża aż do pierwszego ztamtąd wyjazdu, czyli raczej do pierwszej ztamtąd wyprawy... która nastąpiła w dniu 9 maja 1848 roku — bywałem, codziennie prawie, na ulicy Ponthieu.

Słowacki bardzo rzadko wychodził z domu — i to rankiem jedynie — wieczory zaś wszystkie, bezwarunkowo, przepędzał w swoim saloniku, w którym nieustanny ogień na kominku płonął.

Pomnę go, jak dziś, stojącego przed tym kominkiem, z twarzą zwróconą do gości, siedzących w półkolu. Krucze włosy poety, jego oczy wielkie i czarne, z których niekiedy strzelały ostre i ogniste promienie, rzucały jakby cień żałoby na oblicze blade i przezroczyste, jak oblicze owego „Króla Ducha,“ który mocując się spojrzeniem z tajemniczem okiem komety, padł wreszcie od jej promienia, jak rycerz włócznią w pierś przeszyty*).

Czarny aksamitny surdut, w którym Słowacki zwykł chadzać po domu, dodawał więcej jeszcze żałoby jego postaci całej.

Najczęściej, rozmawiając, Słowacki palił fajkę, utwierdzoną na długim z wiśni tureckiej cybuchu, zakończonym bursztynem wielkim. Przywyknienia tego zaniechać nie chciał, pomimo ostrych napomnień doktora Gałęzowskiego, który musiał używać wielu fortelów, ażeby zmusić tę niepodległą, na wskróś duchową naturę, do poddania się medykamentom aptecznym.

Przy domowem ognisku poety — zasiadali często ludzie niepospolici. Widywałem tam malarza Delaroche, a raz nawet sam Michelet, naówczas jeszcze czynny profesor w Collège de France, przepędził tam wieczór cały, słuchając pilnie opowiadań Juliusza o pieśniach ludu naszego z różnych stron kraju — i o przeważającym w nich elemencie religijnym. Szczególniej też sławny historyk francuski zachwycał się, daną mu w tłómaczeniu wiernem, pieśnią, którą lud wielkopolski śpiewa w kościołach na cześć Matki Boskiej, a rozpoczynającą się od słów: „Gwiazdo Zaranna“.

Dawniej przychodził także z częstemi odwiedzinami Fryderyk Szopen, lecz wówczas już choroba przedśmiertna nie pozwalała najwznioślejszemu poecie muzyki odwiedzać największego muzyka poezyi i podczas mojej bytności w Paryżu Słowacki sam już tylko odwiedzał chorego Szopena.

Gdym prosił ażeby mnie zabrał z sobą i przedstawił królowi kompozytorów polskich, Słowacki wprost odmówił, dając za przyczynę iż Szopenowi w chorobie, już dość ciężkiej, byłaby uciążliwą może obecność nieznajomego, chociażby i ziomka nawet.

Zalecał mi natomiast złożyć hołd Mickiewiczowi, którego przy tej sposobności nazwał kapłanem polskiego narodu.

Mickiewicz jednak nie miał dla Słowackiego miłości bratniej — jakaby pomiędzy dwiema gwiazdami świecącemi na wspólnym horyzoncie panować była powinna, a i Juliusz, chociaż wyrażał się zawsze z czcią wielką o swoim starszym koledze, nie kochał go jednak bardzo.

„Bądź zdrów! A tak się żegnają nie wrogi
Lecz dwa — na słońcach swych przeciwne — Bogi.“

W tem pożegnaniu, przesłanem przez „Posąg człowieka na posągu Świata“ ostatniemu Wajdelocie, zawiera się wprawdzie uznanie równej jego potęgi — lecz jest to niby dyplomatyczne tylko pokrycie panującego pomiędzy nimi chłodu. Traktując się, de puissance en puissance, dwaj najwięksi poeci swojej epoki, nie kochali się jednak wzajemnie. Nie podzielam jednakże zdania niektórych obserwatorów ówczesnych, a także i późniejszych biografów, utrzymujących, że powodem oziębienia stosunków pomiędzy Adamem i Juliuszem była zawiść. Wprawdzie zdarzały się może chwile, w których Słowacki, który pomimo napisania całego szeregu arcydzieł, nie posiadał wówczas jeszcze takiej popularności i czci w narodzie i u postronnych, jakiemi Mickiewicz cieszył się już od dawna, czuł pewien żal do ludzi, a może i zazdrościł szczęśliwemu koledze — lecz wierzył on w potęgę własnego talentu i czuł całą wartość utworów takich jak Balladyna, Lilla Weneda, Sen Srebrny, Anheli, Król Duch i t. p. Wiedział, że utwory te stoją na równi z najpotężniejszemi kreacyami poetyckiego ducha, — na całym globu obszarze.

Zresztą jeżeli Słowackiemu zdarzyło się niekiedy piórem wyrazić żal jakiś, jeżeli w smętnej dumie osamotnionego ducha napisał:

Co do mnie — pozostawię maleńką tu drużbę
Tych, co mogli ocenić moje serce dumne;
Snać, że wiernie spełniłem ciężką bożą służbę
I zgodziłem się mieć tu — niepłakaną trumnę.

to w mowie i w obcowaniu z ludźmi nie okazywał nigdy symptomatów podobnych. Owszem, słoneczna pogoda i spokój panowały zawsze na horyzoncie jego ducha — a słowa i myśli, jakie z ust jego wychodziły, były zawsze jakby kwiatami z tego ducha świeżo wykwitającemi...

O własnych utworach Słowacki rozmawiał rzadko — chociaż okrzyk szczerego uwielbienia, rozciepłał go i wzruszał. Raz, gdym przybył do niego, nazajutrz po przeczytaniu „Króla Ducha“ i z entuzyazmem młodzieńczym zacząłem powtarzać z pamięci scenę w której palony żywcem bard-Zoryan przemawiał wśród płomieni do lirenki, którą był „głaskał wyjaśniwszy lice — niby strwożoną, białą gołębicę,“ Słowacki przerwał mi, i bardziej niż zwykle podniesionym głosem deklamował całą następującą oktawkę, kończącą ów wspaniały fragment do Liry:

Przyjmowano cię po dworach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą. —

W tem miejscu kaszel suchy i ostry, którym już wówczas śmiertelna choroba raniła płuca poety, przerwał mu mowę. Zamilkł i wielkie swoje oczy, zamglone łzami, zwrócił na drzewa „pól elizejskich“ widne z okien jego mieszkania..

Po chwili dopiero, cichym już głosem zapytał:

— Przeczytałeś całego Króla Ducha?

— Przeczytałem.

— A, jak go zrozumiałeś? dodał, topiąc we mnie swoje przenikliwe spojrzenie.

— Zmięszany nieco — gdyż wyznam szczerze, iż pomimo uwielbienia dla pojedynczych fragmentów tego wielkiego „Rapsoda Ducha“, nie ogarnąłem wtedy całości jego myśli głównej — zacząłem wypowiadać moje pojęcia... Wreszcie... przyznałem że z ogólnej myśli, z idei tego poematu, nie mogę zdać sobie zupełnego pojęcia — że jej nie rozumiem zgoła.

Poeta spojrzał na mnie z dobrocią i rzekł prosto:

— Źle czytałeś, mój bracie — bo czytając szukałeś tam koniecznie rzeczy nadzwyczajnych — szukałeś tajemnic ducha, które nie odsłaniają się nigdy — bo stoją zawsze odkryte dla tych co je widzą — dla innych, będą niewidzialnemi zawsze. Otóż, proszę cię, przeczytaj tę książkę raz jeszcze—ale czytaj ją tak, jak prostą powiastkę... Kiedyś, gdy da Bóg, złoży się cały szereg takich rapsodów, ostatni — wytłómaczy wam pierwszy...

Później dopiero — już po śmierci Juliusza — zrozumiałem i znaczenie owych słów jego i myśl przewodnią „Króla Ducha,“ która jednakże, jak żyła czystego złota na słońcu — świeci jasno w tych wierszach, kończących poemat, gdy bohater tytułowy, już jako Duch wyzwolony, mówi do swego trupa:

— Śpiżże, mój pierwszy kształcie z ducha zdjęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu,
Samotny —
Jak bazaltowe kolumny w pustkowiu,
Z pierwszej natury ducha malowane,
W ciemność i w chmury, i w piorun ubrane.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem
I szedłem dalej, — a już byłem boży...
Morza się cofną, góry pójdą pyłem!
I świat się komet deszczami zatrwoży...
Gdy spełnię duchem, co ciałem spełniłem,
Duch — utworzony w pierwszej swiata zorzy,
Któremu pan Bóg zasłon swych uchyla,
A lat tysiące są — jak jedna chwila.

= Istniejący w Londynie komitet, mający na celu zbadanie dokładne Palestyny, wysłał w roku zeszłym do Syryi dwóch inżynierów i oficera wojsk wielkobrytańskich, porucznika Kitchenera. Podróżnicy zwiedziwszy strony południowe, udali się w tym roku na północ i zbadali części Palestyny: Samaryę, Judeę, Galileę, Fenicyą. W Galilei odkryli dwie synagogi i cztery „dolmeny,“ nie znane jeszcze żadnemu z podróżników. Tell-el-Kadi (dawny Dan dokąd Abraham ścigał był królów, którzy zawładnęli Sodomą), jezioro Houleh (morze Meromskie Jozuego), stara Giskala, dzikie wąwozy Wadi-el- Haman, były głównie przedmiotem badań porucznika Kitchenera, naczelnika ekspedycyi.

Interesująca ta eksploracya biblijnych krajów ma być ukończoną we wrześniu. Podróżnikom towarzyszy eskorta żołnierzy tureckich.

*) Miałem tu na myśli ów wspaniały fragment z rapsodu „Król Duch“ Słowackiego, z którym mistyczny bohater opisując swą walkę z kometą nań zesłaną, mówi:

„Wtenczas, w tej gwieździe oczyma usiadłem,
I mocowałem się z nią jak z szatanem,
Truciznami ją serdecznemi jadłem.
Paliłem jadów duchowych gryszpanem,
Więc — czasem ona — a czasem ja bladłem.“

Od Redakcyi.

W. Pan E. S. w Krakowie. List pański zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Tygodnia“. W b. numerze bowiem ten sam przedmiot poruszonym został we wstępnym artykule.

W. Pan J. J. w Chocimierzu. Nadesłany 1 złr. doręczyliśmy administracyi „Szkoły.“

Treść Nr. 46.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.